Nr. 6. Kraków, dnia 6 lutego 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

ROK GRUNWALDZKI.

Pod dobrymi znakami wschodził Rok Grunwaldzki. Przyjście jego zapowiadały przygotowania sokole do Zlotu krakowskiego, który odbędzie się 17. lipca, zapowiadał potężny nastrój społeczeństwa polskiego, wyrażający się w Darze Grunwaldzkim, haśle, rzuconem przez największy nasz dziennik „Słowo Polskie", a wzywającem do niesienia czynnej pomocy kresom, broniącym się przed wynarodowieniem. Te zapowiedzi zdobyły nadchodzącemu Rokowi w duszach ogółu należne uznanie i odczucie serdeczne i potęgowały uczucia powszechne, budzące się na ten jeden silny, mocny wyraz.

Ale w miarę, jak trzeba było ucieleśnić zamiary powzięte, jak należało w Roku Grunwaldzkim operować faktami rzeczywistymi, przekonywaliśmy się o trudnościach, o przeszkodach, zewsząd się piętrzących.

— — — — — — — — — — — — — — —

Stolica kraju, Lwów, pamięć Grunwaldu chciał uczcić aż sześcioma wystawami. Ale zamiary te forsowane przed jednostkę, nie liczyły się ani z funduszami ani z czasem: i kiedy przyszło wyciągać wnioski konkretne, okazało się, że wszystko jest jedynie projektem, że znikąd nie można się spodziewać ani poparcia finansowego ani też nikt nie podejmie się zorganizowania w ciągu kilku miesięcy takich wystaw, do których przygotować się należałoby co najmniej rok.

Kraków będzie miał dwa kulminacyjne punkty uroczystości grunwaldzkich: odsłonięcie pomnika Jagiełły i zlot sokoli. Pierwszy Kraków, prastara Jadwigi i Jagiełły stolica, pierwszy bodaj z stolic Polski otrzyma monument, który świadczyć będzie potomności o królu, co łamał wrogi, a współrodaków związał miłością.

Zlot sokolstwa polskiego będzie przeglądem naszych cnót: karności i sprawności i spójności społecznej. Zlecą się szare drużyny ze wszystkich stron karnie i sprawnie, z sercem gorącem i płomieniejącem uczuciami: dowodzić będą wzrastającej ciągle i stale demokratyzacyi społeczeństwa i wzrostu uświadomienia narodowego w wszystkich warstwach. Przez Sokolstwo pogłębia się u nas *naród*, opierający się nie na garstce wybranych czy jednej warstwie społecznej, ale na wszystkich uświadomionych.

— — — — — — — — — — — — — — —

Niestety nie brak, jak zwykle u nas, głosów, zakłócających uroczystość dostojną.

Postępowanie Rady miejskiej krakowskiej, kierowanej przez czynniki bardzo sferom niemieckim ulegające, jest bardzo niejasne i niepokojące. Pominiemy już stosunek jej do Paderewskiego, dającego miastu pomnik Jagiełły, o którym możnaby niejedno powiedzieć. Wystarczy jednak podnieść zachowanie się sfer konserwatywnych wobec komitetu grunwaldzkiego i postępowanie Rady i magistratu wobec p. Styki, który w rondlu Bramy Floryańskiej pragnie otworzyć panoramę, przedstawiającą wielkie zwycięstwo.

Usuwanie się z komitetu wybitnych reprezentantów konserwatystów, którzy krok swój motywują obawą rzekomych represyi w Poznańskiem, a następnie stałe przeszkadzanie malarzowi Styce w urzeczywistnianiu jego planu z panoramą grunwaldzką, to wszystko — nie chcemy posądzać o zbytnią uległość „mocarstwu zaprzyjaźnionemu" lub kierownikom rządu galicyjskiego, którzy jak p. Bobrzyński bardzo niemile widzą uroczystość grunwaldzką — to wszystko podszyte jest: tchórzostwem!

— — — — — — — — — — — — — — —

Gorsza rzecz, gdy poczęto ostudzać zapał. Znany pisarz Bolesław Prus, widząc rozmaite przygotowania, wyraził przekonanie, że Grunwald nie jest dla nas dniem chwały, ale dniem sromoty: jest wspomnieniem naszego niedołęstwa politycznego, boć nie umieliśmy wyzyskać znako-

mitego zwycięstwa, strwoniliśmy dorobek niezwykły i dziś jesteśmy podwładnymi tych, których przed pięciu wiekami potęga polska starła na proch.

Bezwątpienia Grunwald i czasy po tej bitwie nie świadczą dodatnio o zdolnościach politycznych i dyplomatycznych naszych antenatów. Ale to nie kwestya, aby nie czcić rocznicy. Co byłoby się stało z nami, gdyby zwycięstwo ostało się przy krzyżakach?

„Grunwald — pisze sędziwy Kazimierz Kaszewski — jest momentem historycznym przypominającym Maraton. Jak tam, gdyby król perski zniósł wojska ateńskie i hordą swoją zdobył Ateny, Grecya nie miałaby swego siedemdziesięciolecia, które ją unieśmiertelniło duchownie, a nawet politycznie, stałaby się jedną z licznych satrapii państwa perskiego i wlokła nędzny żywot w kajdanach. Podobnie przegrana pod Grunwaldem zostawiłaby Polskę, niewyrobioną umysłowo i narodowo, bez dalszej historyi i bez kultury rodzimej; a naród bez historyi i bez kultury nie jest właściwie narodem, tylko ludnością".

Święcić mamy zwycięstwo oręża i kultury polskiej, to zwycięstwo, za którem szło wzmożenie się państwa polskiego, za którem następowały najpiękniejsze okresy rozkwitu Polski. Grunwald jest w dziejach punktem zwrotnym: Polska staje się odeń mocarstwem potężnem, należącem do najsilniejszych w Europie. Jagiellonowie stają się obok Habsburgów najsilniejszą dynastyą na świecie.

Rocznicę tę święćmy uroczyście. Tyle rocznic mamy, że ich święcenia niejako nam spowszechniały. Ale obchód tej rocznicy musi być wielki i potężny, silny zapałem i wiarą, jak wielkie i potężne było nasze zwycięstwo grunwaldzkie!... ***

Co tydzień niesie.

Kraków, 1 lutego.

W Sejmie galicyjskim mamy nieustannie dyskusyę budżetową. Posłowie nieustannie gadają i dziś żywić można poważne obawy, że się całą sesyę przegada. Nie wiele słychać o pracach poselskich w kierunku rozszerzenia samorządu, o reformiewyborczej. Żeby choć Sejm załatwił dwie ważne sprawy: Bank parcelacyjny i Bank przemysłowy.

O obu bankach pisaliśmy w poprzednich numerach. Likwidacya *Banku parcelacyjnego* jest nieunikniona, 31 stycznia walne zebranie udziałowców ją uchwali. Sejm musi zaradzić temu, aby przy likwidacyi nie stracili chłopi. Jak w Sejmie stwierdzono, Bank krajowy stracił na parcelacyjnym około 140.000 kor., a wszyscy udziałowcy będą musieli dopłacać do podwójnej wysokości udziałów. Nie jest jeszcze zdecydowane, czy nie stracą na tem ci, co składali w Banku swe oszczędności.

Zdaje się, że nie dojdzie do skutku umowa z dolnoaustryackim tow. eskontowem co do Banku *przemysłowego*, zdająca rozwój polskiego przemysłu w Galicyi w ręce niemieckie. Mianowicie ks. Andrzej Lubomirski w imieniu przemysłowców oświadczył gotowość przyczynienia się 2 milionami kor. do kapitału zakładowego Banku. Tow. niemieckie przyczynićby się miało 3 milionami, a wskutek tego i prawa tw. niemieckiego zostaną zmniejszone. W sejmie jest opinia, ażeby przyjąć propozyę ks. Lubomirskiego.

Sejm nasz był widownią sceny, jakiej dotąd nie było nigdy.

Ruski dziennikarz Demiańczuk przyszedł do Sejmu, aby załatwiać swe osobiste porachunki z posłem Tymkiem Staruchem, który go nielitościwie pobił do krwi i (z bratem Antonim) skopał jak psa. Rusini pozbawieni elementarnych zasad kultury nie uznają żadnej innej formy walki jak pięść; mogą nie wiedzieć jakie urządzać między sobą awantuy, ale wara im od Sejmu, dla którego Polacy swą rozwagą i spokojem zdobyli poważne imię.

Zagłębie ostrawskie staje w ogniu *walki czesko polskiej*. Idzie o szkolnictwo, którego Polakom Czesi nie dają. Obok Polskiej Ostrawy i Michałkowic wybuchł nadto strajk w Dziećmorowicach, a istnieje obawa, że strajk rozszerzy się na te wszystkie miejscowości, gdzie Czesi nie chcą wziąć szkoły polskiej na etat gminny. Posłowie czescy i polscy urządzili wprawdzie w Polskiej Ostrawie konferencyę, na której radzono, w jaki sposób doprowadzić do zgody czesko-polskiej, ale na tej konferencyi do żadnego porozumienia nie doszło.

Ażeby w *Księstwie Cieszyńskiem* sparaliżować wpływy wydawanego za niemieckie pieniądze renegackiego „Ślązaka", zaczęli Polacy wydawać „Posła Ewangielickiego" przeznaconego dla ludności ewangielickiej, wśród której „Ślązak" ma najwięcej wpływów. Obok „Dziennika Cieszyńskiego", redagowanego przez J. Heynara, obok „Gwiazdki Cieszyńskiej" ks. J. Londzina, obok „Głosu ludu śląskiego" A. Nardellego jest to czwarte pismo polskie w Księstwie, prowadzone w duchu narodowym.

Korespondencya poznańska.

Poznań, dnia 1 Lutego 1910.

Dziwią się zwykle ludzie, gdy spadną na kogoś łaski niespodziewane. W Prusiech tymczasem łaski są widocznie tanie; z okazyi pewnego święta pruskiego rozdano w pierwszej połowie bieżącego miesiąca około *cztery i pół tysiąca* rozmaitych *orderów* i innych odznaczeń. To już nie zwykły deszcz orderodajny, lecz nawałnica, oberwanie się chmury z orderami!

Po małej przerwie deszcz ten spadł ponownie z okazyi urodzin cesarza niemieckiego Wilhelma II. Między innymi otrzymał order, najwyższy, jakim może zostać zaszczycony niezwykły śmiertelnik pruski, order Czarnego orła — z którym związana jest stała pensya, wynosząca ładną sumkę 18 tysięcy marek, — następca księcia Bülowa major i kanclerz Rzeszy niemieckiej pan Gottlieb Bethmann Hollweg.

Potomek bankierów frankfurtskich otrzymuje najwyższe to odznaczenie w chwili, gdy w prasie niemieckiej wszelkich odcieni ukazały się wzmianki o rychłym ustąpieniu kanclerza-filozofa, w chwili, gdy żadna z partyi parlamentarnych nie ukrywa się bynajmniej ze zdaniem, że p. Hollweg nie dorósł swemu zadaniu. W takiej chwili otrzymuje on najwyższy order! Lecz przypomnijmy sobie, że p. Hollweg kilkanaście dni przed urodzinami cesarskimi zdobył sobie w Sejmie pruskim ostrogi antypolskie, że oświadczył wobec zgromadzonego kwiatu „narodu“ pruskiego, iż *prowadzić będzie nadal politykę antypolską.* Może ten fakt będzie należytym tytułem do zasługi, w nagrodę której następują dekoracye orderowe, ostmarkenculagi i t. d.

Na tem miejscu muszę — mam nadzieję że głosy moje pójdą pod niebiosy — zwrócić komu należy uwagę na to, że krzywda stała się pewnej osobistości, przysłanej na kresy wschodnie, która mimo niedługiego stosunkowo pobytu wśród społeczeństwa polskiego stała się już dość głośną. Oto na *ks. kan. Sandera* nie spadła ani jedna ożywcza kropla deszczu orderowego. Czyżby nie miał być on godnym, zostać tak samo, jak książę biskup i kardynał Kopp rycerzem Czarnego orła z pensyą 18 000 mk. A może wzięto mu za złe fakt, że był na zebraniu Tow. Robotników polsko katolickich, a ci na jego cześć krzyczeli „hurra!“

Na ten temat możnaby napisać tomy całe, — o tej prastarej naszej katedrze gnieźnieńskiej, o opróżnionym od szeregu lat tronie arcybiskupim, dawniej prymasowskim, itd., — lecz zaprowadziłoby mnie to za daleko, może nawet dalej od gnieźnieńskiego „*Lecha*“, który swego czasu skazany został na 600 mk. kary. Ks. kan. Sander wcale nie jest łaskaw na redaktorów, którzy — według jego własnego zdania — nie dorównują mu wykształceniem, a jednak śmią pisać o jego występach. Do ks. Sandera i innych germanizatorów powrócę jeszcze w późniejszych listach.

Wyziębłe serca.

„Zmarzniętymi palcami nie rozwiąże się węzła u nici, wyziębionem sercem nawet łatwe rzeczy spełnia się ciężko“.

Wiek XIX wzbogacił rozumy wieloma odkryciami i zdobyczami, ale też równocześnie dziwnie wyziębił serca ludzkie.

O ile przybyło wogóle mądrych i uczonych, o tyle ubyło dobrych i poczciwych.

I u nas w Polsce daje się to spostrzegać z wielkim smutkiem, iż jakkolwiek w nauce postąpiliśmy naprzód, to w uczuciach zacnych i narodowych wychłódliśmy i zobojętnieli.

Zimnych ludzi spotykamy aż nadto często.

A ludzie ci o sercach wyziębłych dlatego są nieszczęściem w narodzie, iż nie chcą przyjmować na siebie nic takiego, coby wymagało poświęcenia lub zaparcia się, iż nawet łatwe obowiązki spełniają ciężko, leniwie, niechętnie.

Trzebaby też zastanowić się nad tem, co ludziom w Polsce serca wyziębia i uboży.

Dawniej, kiedy Polacy, jak żurawie stali na czatach i gotowi byli zawsze do walki z napadającym wrogiem, wtedy biły w ich piersiach serca gorące i ogniem rozpalonego żaru wołały o męstwo i wytrwałość w trudnej, bardzo ciężkiej służbie.

Dziś — tak samo każdy z nas — Polaków powinien stać na straży narodowych praw, bo wrogów nam nie ubyło, a my nie słyszymy wołania Ojczyzny i nie widzimy niebezpieczeństw groźnych.

Wyziębły serca mamy w piersi i jak z kawałami lodu idziemy wśród dróg tylu obowiązków i powinności.

A serca te wyziębłe i zgasły dlatego, iż w życiu rodzinnem i wychowaniu domowem nie

umiano ratować duszy dziecięcia od wpływu obcej szkoły, obcych ludzi, „nieprzyjacielskich pocisków, nikczemnych posiewów zła i brudoty.

Wyziębło serce temu, komu w domu nie mówiono, iż trzeba kochać Ojczyznę, naród, przeszłość i przyszłość naszą.

Wyziębło serce temu, komu kazano tylko o grosz i pieniądz w życiu się troszczyć, a pychą napawano co dzień jego usta, a samolubstwem karmiono ciągle jego duszę.

Tacy pójdą w życie z wyziębłemi sercami i jak lodowe bryły będą się toczyć po drodze życiowej.

Tu lud — mozoli się i szarpie, ażeby o kawał ziemi, o grosz ciężko zarobiony, o mowę ojczystą stoczyć walkę zwycięzką, a oni, ci — z wyziębionemi sercami idą obok niego i nie pomogą, nie wesprą, nie staną w obronie.

Tam młodzież zniemczona upada na duchu narodowym, tam syn już się wstydzi matki-Polki, tam córka już się za niemkinię ogłasza i dzieci po niemiecku wychowuje, a brat, mąż, krewny nie widzi wcale tego, nie weźmie sprawy ojczystej w obronę, bo jemu to obojętne, gdyż ma zimne serce i nie odczuwa bolu Ojczyzny w takich chwilach.

Ileżbyśmy to przykładów przytoczyć mogli!... A wy, którzy czytacie w tej chwili te słowa, ileż przypomnicie sobie chwil w życiu, w których Wam bardzo ciężko i smutno było dla tego, iżeście w koło siebie nie znaleźli serc ciepłych i gorących!

Dlatego potrzeba ratować ludzi od tego, ażeby im serca nie ziębły.

Czyniąc wyznanie win u krat konfesyonału, powiadamy: — takie a takie grzechy popełniliśmy. Czyż nie powinniśmy przed sobą wyznawać win spełnianych przeciw obowiązkom narodowym?

Jeżeli dzieci nasze są zimne i obojętne, to myśmy winni i ratować ich serca musimy czemprędzej, aby potem nie było zapóźno.

Jeżeli nasi sąsiedzi, przyjaciele i krewni są zimni i obojętni, to musimy zawiązywać stowarzyszenia, związki, kółka rozmaite, a w nich pracować przedewszystkiem nad rozgrzaniem serc wszystkich rodaków.

Niezmiernie wielką pomoc w wzbudzaniu uczuć szlachetnych przynosi nauka historyi. Tak historyi Polski, jak i dziejów powszechnych. Bo wszędzie tam są nie wymarzone, nie wyśnione, nie bajeczne postacie jakichś bohaterów, ale życiorysy i czyny ludzi takich, którzy wyziębionych serc nie mieli.

Dlatego potrzeba w domach czytywać głośno opowieści z historyi Polskiej, potrzeba na zebraniach w stowarzyszeniach czcić pamięć bohaterów narodowych, bo takie chwile wpływają bardzo żywo na obecnych.

Co zaś jeszcze więcej przyczynia się do ogrzania serc naszych, to czytywanie w polskich narodowych pismach wieści o tem wszystkiem, co się w Polsce dzieje. Kto polskiej narodowego pisma nie czyta, ten nie wie, ile cierpień i smutku po całym kraju chodzi, ten nie rozumie, ile sił trzeba, ażeby się oprzeć i socyalnym agitacyom i niemieckiej gospodarce i moskiewskiej stopie gniotącej. Dlatego — ażeby odważyć swe życie z życiem innych braci, trzeba mieć narodowe pismo w ręku, a kto żałuje dać na to ofiary kilku centów czy fenygów, ten już chyba ma nie wyziębłe, ale zamrożone serce.

Płomień.

NA WIŚLE.

(Opowieść prawdziwa.)

W jednej z chwil takich, co to człowiekowi nic nie dolega, a jednak czuje się niewyraźnym, kiedy potrzebuje wniknięcia w siebie, poznania gdzie jest i jakim jest, puściłem się na wędrówkę.

Dokąd szedłem, którędy? — nie pamiętałem. Machinalnie posuwałem się naprzód. Było mi dobrze, bo dokoła panowała pustka i cisza. Minąłem zapewne niejedną drogę, wiodącą do siedzib ludzkich, niejedną chatę i całe szeregi wierzb, spoglądających na żółte piaski, po których fale Wisły tygodniami hulają...

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk bardzo zajmującej powieści z czasów rewolucyi francuskiej.



Leon Bonnat.

Ś-ty Wincenty à Paulo, odkupujący galernika własną swą osobą.

Stanąłem na pagórku. Chłodny wiatr o zachodzie przyniósł ze sobą opamiętanie.

Purpurowy zachód jaśniał czerwonością barw kończącego się dnia, a na wschodzie, tuż po nad lasem, wypływał równocześnie srebrno-seledynowy księżyc, roztaczając w przestworzu cichość nocy i spokój snu.

Nie było wokoło górskich wąwozów, ani skał malowniczych o skromnych, szemrzących potokach; nie było szalejących wodospadów ani puszcz tajemniczych: tylko pagórek, brzeg Wisły i wydmuch piasczysty; tylko szum fal i pogwar kołyszących się w wodzie gałązek wierzby i wikliny. A jednak ten swojski krajobraz, odbijający swoją prostotą przy wspaniałości nieba, budził tęskne i tkliwe uczucia...

Stałem na rozdrożu. Kilka staj dalej, szły szlaki graniczne Prus nowoczesnych. Myśl niesforna, pobratawszy się z okiem, płynęła po nad kordonem z tą niepowstrzymaną swobodą, jak szare nurty Wisły, które aż z pod Karpat przemierzają swój gościniec do Gdańska.

Opanowały mnie wspomnienia przeszłości, zmora krytycyzmu osiadła na piersi... Konrad mazowiecki — zastęp |rycerzy z krzyżami na płaszczach a nienawiścią w sercu — krwawe apostolstwo — grabież, rabunek i pożogi — potem Grunwald — na Rynku krakowskim obłudna przysięga — a później fałszywe przymierze, cynizm i nikczemność — a teraz... hakatyzm, walka o język przy pacierzu i ten zamęt nieszczęsny, którego szatanem jest .... Wszystko stanęło w pamięci i szarpnęło żywą istotą.

Udałem się w górę rzeki. Brzeg, porosły wikliną, silnie podmyty wodą, stopniowo obniżał się i rozpływał w morzu piasku żółtego, na którym widoczne były ślady kół, kopyt i nóg ludzkich. Zbliżałem się do przystani...

Mielizny zwężały koryto Wisły. Wiła się ona zaledwo dostrzegalną wstęgą, ujętą w piasczyste okowy. Czy z nich się oswobodzi i kiedy? Czy sił jej starczy rozerwać te pęta? Zapewne nie prędzej, aż wszystkie fale odczują gniotące brzemię — wówczas zabiorą piaski, rozerwą tamy i podążą do wierzb rozczochranych, które są krwią z krwi Wisły naszej rodem, które usychają z tęsknoty, gdy jej nie widzą, a ona... przebojem do nich dąży, tuli, pieści, całuje, a gdy do łożyska wraca, na znak zaślubin, złotą obrączkę na pniu im zostawia.

W przystani domek rybacki, na dużym galarze osiadły, równie szary, jak nurty rzeki, wskazywał, żc tu ktoś mieszka.

— Możeby zajrzeć?

Wszedłem. Pokład zbity z desek, na prawo drzwi. Duża izba, bez okna, na fundamentach z wody oparta, unosi się, chwieje, opada, odczuwa każde tchnienie królowej rzek naszych. Dwóch rybaków siedziało nad potarganą siecią, przygotowując ją na wieczorny połów.

Rozpocząłem gawędę z tymi ludźmi, którzy gośćmi na ziemi bywają. Ich panowanie, ich rola, to woda. Jak kmieć zapuszcza lemiesz w ziemię, krając pługiem glebę, tak rybak siecią pruje nurty wody. Po wodzie chodzi, woda go żywi, on ją zna, kocha, tęskni za nią...

Rozgadałem się z nimi na dobre!

Obaj nowi znajomi to weterani, tak zwane „wilki“ marynarki naszej. Nieraz przepływali całą Wisłę, dążąc do Gdańska. Starszy z nich, Molis, poddany pruski, za lepszych czasów właściciel barki, chłop stary, choć krzepki jeszcze, sprawiał wrażenie człowieka roztropnego i bywalca. Istna kronika chodząca. Rok 1846, 48 i 63 nie obce mu, patrzył na nie własnemi oczyma. Pogląd na rzeczy jędrny, często ubarwiony fantastycznemi proroctwami. Mówił, jak to Prusy nas gnębią, opowiadał różne proroctwa, jak to „w Biblii oddawna stoi napisano“, i zakończył niespodziewanym zwrotem: *Jo, Napoleon drugi jeszcze powstanie!*

Molis, mówiąc o Napoleonie, wyprostował się, z szacunkiem wymawiał to imię. Zaintrygowała mię postać rybaka, począłem więc rozpytywać się — co zacz i skąd pochodzi?

— Ja, panie — ciągnął stary — nie jestem dzisiejszy. Urodziłem się w 1819 r., w Księstwie Poznańskiem, gdzie ojciec mój osiadł po skończonych wojnach napoleońskich.

Mówiąc to, wyjął z kufra zwój papierów, strzeżonych, jak skarb, szanowanych — jak relikwia. Najcenniejszym dokumentem była książka wojskowa ojca jego.

Na zżółkłym od starości papierze, zapisane były wszystkie kampanie, odbyte przez Michała Molisa, we Francyi urodzonego. Był w Egipcie i Hiszpanii, bił się z Austryakami i nieszczęsną na Moskwę odbył wyprawę. Potem osiadł w Polsce, ożenił się z Polką, a doczekawszy się potomstwa, zaszczepił w niem uwielbienie dla Napoleona i miłość do przybranej ojczyzny.

On wie, że jest synem żołnierza wojsk napoleońskich i wierzy, że prawnuk szczycić się będzie pradziadem, który służył pod Napoleonem.

Miał lat 15, gdy mu ojciec umarł, a jednak z takim ogniem odzywał się o wodzu francuskim, jakby sam pod nim służył. Taki urok, taki zapał otaczał wodza bohatera.



JARMARK NA UKRAINIE.

Trzeba było widzieć tego starca, który z zapałem powtarzał słowa ojca, zmarłego blisko przed 70 laty. Z jako rozkoszą wspominał o marszach szesnastomilowych na dobę, po których do ataku stawali. Jak opowiadał o grzaniu się przy ogniu, podczas wyprawy pod Józefem ks. Poniatowskim, lub o rozbiciu kasy wojsk nieprzyjacielskich.

— Posypały się dukaty — mówił Molis — ojciec napełnił tornister po brzegi. Łatwo przyszło, prędko poszło. Za kwaterkę śliwek płacił dukata. Zwyczajnie... wojskowy żywot. Dziś człowiek zdrów, bogaty — jutro kulka w łeb i basta.

Mówił jeszcze o odwiedzinach przez ojca rodzinnego kraju, ò powitaniu przez rodzeństwo — jak ojciec, niepoznany przez dni kilka, pracował w winnicach brata swojego. Wreszcie, gdy wspomniał chwilę powstania, staremu łzy w oczach stanęły, które spiesznie otarł rękawem.

Miałem złudzenie, że powstał Michał Molis, stary wiarus napoleoński i własne opowiada dzieje. Snać powitanie rodziny, po tych latach rozłąki, spędzonych śród gradu kul, w walce z nieprzyjacielem i w walce z groźniejszym nieraz żywiołem, powrót do rodzinnych winnic, po tylu niebezpieczeństwach, musiał do żywego roztkliwić napoleończyka, skoro tak żywo umiał przekazać wspomnienie synowi, iż on, starzec, w twardem rzemiośle rybaka wyrosły — ze łzami w oczach o tem mówił.

Snać ta przybrana ojczyzna musiała synowi być dobrą matką, skoro duszy jego chwyciło się poczciwe proroctwo o lepszych czasach, które miał sprowadzić z pewnością Napoleon drugi, bohater z pod Jeny.

Przesiedziałem do późna pośród tych ludzi, słuchając przygód ich życia.

Zżyli się z Wisłą, a mówiąc o niej, spoglądali z przywiązaniem na mknące fale, jak rolnik na rodzinne łany ziemi, które go żywią.

Wracałem zadowolony z poznania istot, wśród których żyła tradycya przeszłości i tkwiły najszlachetniejsze nadzieje jutra.

Płaszcz nocy okrył ziemię, ale silniej niż księżyc z za chmur wyłaniały się z duszy mojej uczucia wiary, nadziei i miłości.

Mieczysław Offmański.

NA MARGINESIE.

CZARNA ZIEMIA.

...Kiej Pon Bóg ziemię stworzył, była ona biała niby kryda. Dopiero od grzechu Jadama i Jewy od Kaina i innych ludzi zaczena ona czernieć i czernieć. Za każdy raz, co człowiek na ziemi zgrzeszył, stawała się ona czarniejszą, aż kiedy mordercy, żydzi Poniezusa ukrzyżowali, tak ziemia zrobiła się czarna od końca do końca.

A no!... do końca świata ona musi zbieleć i pojaśnieje, aże będzie znowu jak kryda bialusieńka, tylo to strasznie powoli idzie. Za każdy raz co czysta dusza ludzka z ziemi prosto do nieba weńdzie, to ziemia odrobinę bieleje, ale kiej znowu człek jaki zgrzeszy, tak znowu czarna plama się staje.

...Kiejby nie płakała ani jedna matka na świecie na swoje dzieci, kiejby ani jednej sierocie krzywdy nikt nigdy nie zrobił, kiejby brat bratu, siotra siostrze i człek człeku nigdy złego słowa nie pedział, toby ziemia bielała, ale czarna ona jest i jeszcze nie prędko zjaśnieje..

— Pon nie wierzom, co tak być może?

Ano! Kiej Poniezusa ukrzyżowali, zatrzęsła się cała ziemia, zgasło słońce, i księżyc — jużby ogień był świat spalił, ale co Najświętsza Krew Poniezusa padła na ziemię, tak się wstrzymało zgniewanie boskie. I chociaj ta ziemia taka czarna i nędzna, świętą ona jest, całują ją ludzie, jako całują krzyż, co na świętej Misyi postawiony, jako całują stopnie na kalwaryi Świętej. Wom z miasta widzi się ziemia ta ziemią, nic innego jeno, aby chleb rodziła, a ludzi żywiła. Ale my tu po wsiach inne mamy sądy. Zczerniała ziemia od grzechu, a przekleństwa i syćkiego złego, ale boska ona i po boskiej woli bieleje, aże będzie jako śnieg bielusieńka.

Na każdy wielki Piontek, kiedy ludzie do Bożego grobu idą, to się ziemia obmywa z grzechu i z przekleństwa. Kiejby syscy krześcijanie jako som, przy Bożym grobie zapomnieli wselakiej złości i grzechu takby ziemia zbielała i na Rezurekcyę stałaby jak słońce jasna. Ano!... całują ludzie Boskie Rany, a w sercu gniew mają...

..Nie zbieleje, powiadacie? A czy ludzie to nie z ziemi i do ziemi nie wrócą?... Kiej ta drobina, co się człowiekiem zowie, może dojść do nieba i z Poniezusem królować, to i ziemia święta w jasności kiedyś stanie i odpocznie po swojej męce, jeno niech się Judaszów serca z niej ustąpią.



GOŁĄBKI.

Dzwonią na „ciemną jutrznię“, ostańcie z Bogiem... a do „Bożego Grobu“ kiej przyńdziecie, to przy Boskich Ranach i Świętą ziemię uszanujcie... Czarna ona i bolejonca, ale matka nasza i żywicielka.

Pod krzyżem Misyjnym pochylił się, czołem bił o ziemię i szeptał: „Któryś za nas cierpiał rany“...

A czarna ziemia stała w promieniach zachodzącego słońca, jak w aureoli chwały...

Biédna, czarna ziemia mojej Ojczyzny!

Jan Świerk.

W pogoni za złotem.

Ludzie traca zdrowie siły,
Często honor, spokój miły,
Bo ich razi jak ślepota —
żądza złota!...

Każda żyjąca istota ludzka dąży do tego, aby jej było jaknajlepiej na tej ziemi i stara się wszelkimi sposobami zapewnić sobie możliwy dobrobyt. A że pieniądz jest głównym motorem i pośrednikiem między ludźmi, zatem każdy się stara zdobyć tyle pieniędzy, aby za nie mógł sobie nabywać rzeczy niezbędne do utrzymania życia, ciepły przyodziewek, wygodne zdrowe mieszkanie, a nawet rzeczy zbytku.

Nie można się przeto dziwić jednostkom ludzkim, gdy pracują zabiegają, starają się, aby zdobyć na tyle grosza, żeby się uniezależnić od łaski drugich, mieć znośny byt i zaoszczędzić jeszcze coś na czarną godzinę. Tembardziej oszczędzać i zbierać grosz musi ojciec licznej rodziny, jeżeli kocha swoje dziatki i pragnie dać im odpowiednie wykształcenie. Jednakże między pracą i oszczędnością z jednej, a nieuczciwą spekulacyą i skąpstwem z drugiej strony zachodzi olbrzymia różnica. Kto bowiem uczciwą pracą grosz zdobywa, a przytem nie trwoni go na rzeczy niepotrzebne, lecz składa go sobie na zabezpieczenie starości i na ratunek w chorobie — ten jest użytecznym członkiem społeczeństwa, nie staje się dlań ciężarem, więc wart poszanowania. Jednakże są w społeczeństwach osobniki, których opętał demon złota, żądza bogactw, a w szponach trzyma wstrętna chciwość, więc tacy niepożytecznymi członkami, a raczej szkodnikami społecznymi są.

Są ludzie, co w pogoni za złotem, nie liczą się z uczciwością, zagłuszają w sobie sumienie i poczucie ludzkie, nie zważają, że w tej szalonej gonitwie tratują słabszych, nie widzą krwawego potu i łez nędzarzy, nie słyszą ich jęków, przekleństw i złorzeczeń, lecz prą naprzód jak szaleni, bo ich opętała piekielna chciwość. Złota, złota — jak najwięcej złota — oto hasło i cel życia niektórych. Marny ten kruszec, dar natury przetworzony ręką robotnika na świecące krążki, blaskiem swojem oślepia chciwych zysku spekulantów, dźwiękiem metalicznym głuszy w nich głos serca, zatruwa cyframi i kombinacyami spekulacyi umysł i widzimy w nich nie ludzi, nie istoty szlachetne, czułe na cierpienia swoich bliźnich, ale chodzące wory złota, asygnaty bankowe, w których nie ma duszy, ale piekielna chciwość, skąpstwo do granic ostatecznych połączone nieraz z podłością.

Żądza złota, życia i użycia rozszerzyła się do najwyższego stopnia przedewszystkim w Ameryce. Wytwarza ona tam, jak czytamy w jednym z pism amerykańskich, niesumiennych, złodziejskich urzędników, zniepráwia sądownictwo, paczy naukę, ze świątyń Pańskich wytwarza domy spekulacyi i wyzysku, wychowuje gromady rozbójników i kryminalistów — słowem spycha społeczeństwo w bezdenną otchłań występków wszelakich, które tak jaskrawo występują w całej swej ohydzie. A przecież gdyby nie ta szatańska żądzu marnego kruszcu, wszystkim mogłoby tam być dobrze. Nie brak dziewiczej urodzajnej ziemi, nie brak wszelkich darów naturalnych, nie brak milionów tęgich głów i rąk do pracy, ale natomiast brak serca, brak uczciwości i szlachetności w chciwych jednostkach, które wszystko chcą zagrabić dla siebie, choćby miliony skonały z głodu, zimna i niedostatku.

Drobiazgi naukowe.

Przemysł papierowy.

Papier uważają powszechnie za bardzo nietrwały i bardzo łatwo zniszczeniu podlegający materyał. Ma się na myśli zwykle wiotkie kartki, w której postaci najczęściej spotykamy się z papierem; zapomina się zaś, że w pewnej grubości posiada on zdumiewającą wytrzymałość, wskutek czego nadaje się doskonale jako materyał do fabrykacyi rozmaitych przedmiotów. I istotnie zastosowanie papieru do celów przemysłowych, zwiększa się coraz bardziej. W Ameryce, a w ostatnich latach także i w Europie, buduje się coraz to częściej z masy papierowej wagony kolejowe, przedewszystkiem wagony luksusowe. Materyał ten jest znacznie tańszy aniżeli drzewo, łatwiej



MATKA.

go obrabiać i nadawać mu rozmaite kształty, prócz tego zewnętrzny wygląd jest estetyczniejszy aniżeli z lichego drzewa. Ma też i tę zaletę, że jest bezwarunkowo nie przenikliwy, trudniej chłonie wilgoć, gorzej przewodzi ciepło. W fabrykacyi powozów znalazła masa papierowa również duże zastosowanie, służy do wyrobu kół, które impregnowane i zahartowane z wierzchu, nie wymagają już otoczenia ich obręczami żelaznemi (gdy chodzi o lepsze bruki), a które elastycznością zbliżają się trochę do kół gumowych.

Dalej produkuje się z papieru skrzynie i naczynia, zwłaszcza do transportu produktów chemicznych; robi się z odpowiednio przyrządzonej masy papierowej fajki, a nawet używa się jej w wielu wypadkach, gdzie potrzebny jest materyał trudnozapalny i gdzie dotychczas posługiwano się asbestem. Przed kilkoma laty Amerykanie poczęli fabrykować trumny z masy papierowej. Niedawno temu przy wyjęciu jednych czy dwu zwłok w celu oględzin sądowo-lekarskich skonstatowano, że trumny te przechowały się lepiej w ziemi aniżeli drewniane. Kilka lat zakopane w wilgotnym gruncie nie uszkodziły się prawie nic.

Mimo to jednak — jak przypomina jedno z pism fachowych, poświęconych papiernictwu — daleko jeszcze Europie i Ameryce do rezultatów osiągniętych w innym kraju, od którego nasz przemysł i wynalazcy wiele mogliby się nauczyć. Krajem tym jest Japonia. Tam papier, względnie przetwory masy papierowej są prawie jedynym materyałem, jaki się obok metalu spotyka. Sznurek, którym Japończyk obwięzuje sprzedany towar, jest z papieru, z papieru też zrobiona chusteczka, którą odrzuca po użyciu, stosując w ten sposób hygienę w praktyce. Z masy papierowej są zbudowane wewnętrzne ściany domu, z papieru są zrobione okna, napuszczone specyalnemi mieszaninami, by przepuszczały światło. Kapelusze przechodniów, płaszcz tragarza, ubranie rybaka, latarnie, parasole, kwiaty zdobiące głowę Japonki i setki innych przedmiotów są sporządzone z tego samego materyału, odpowiednio przerobionego i spreparowanego.

W ostatnim czasie rozpoczęto we Francyi próby z masą papierową o rozmaitym składzie w zastosowaniu do rozmaitego użytku. O ile rezultat tych doświadczeń okaże się pomyślnym, kilka fabryk papieru zamierza rozszerzyć swą działalność.

Gospodarstwo domowe.

„Pamiętaj przychodzie, żyć z rozchodem w zgodzie“ — uczono nas oddawna, jednak jest za wiele jednostek takich, które nie chcą i nie umieją tego zestawienia matematycznego mieć w pamięci.

Są domy, w których nigdy nie robi się obliczenia, ani miesięcznego, ani kwartalnego, ani nawet rocznego. Nie wie się, ile kosztowało życie przez rok cały, nie wie się o ile niedobór urósł w drugim i trzeciem roku, aż wreszcie, gdy poczyna się walić kredyt, dopiero z zgrozą tam się przekonują, iż długów liczba dziesięćkroć większa od dochodów — omyłka straszna podkopała szczęście, sławę i sumienie — teraz szczerzy bezdenną gardziel rozpacz...

Wszystko wzięło początek z odrobiny, z pierwszego centa, nie obliczonego w wydatkach.

Naruszewicz przestrzegał:

— Złoto się samo strzeże, miedź wstrzymać [należy,

— Czerwony złoty siedzi, ale szeląg bieży.

Bo też tak bywa, iż zanim się zrobi wydatek na 50—100 koron, to się czas jakiś rozmyśla, zaś gdzie się ma dać 10—20 halerzy, o tem szkoda trudu kłopotać się... Tak rozchody przeskakują bardzo szybko dochodów miarę, a potem różnica rozbiegliwości jest coraz większa

W gospodarstwie domowem najpierwszą rzeczą powinno być zestawienie liczb, jeśli nie codzienne, to przynajmniej tygodniowe.

Mleko, mięso, masło, towary kolonialne — to wszystko może obejmować razem tę liczbę, na którą zezwala budżet domowych wydatków.

Tak samo opał, światło, usługa nie może w niczem przekroczyć drugiej pozycyi budżetu, chociażby przychodziło to z wielką trudnością. — Lecz łatwa rzecz powiedzieć: nie wolno przekroczyć, ale wykonanie wymaga ciągłej czujności i ostrożności.

Młodym, pięknym paniom, rwącym się do rozmaitych rozrywek i sportów osobom nie bardzo uśmiecha się myśl o obowiązku obliczania rozchodów i zestawiania ich z dochodami, dlatego nie wykonują one tej czynności wcale i dlatego u nas w bardzo wielu domach żyje się, jak powiadają, „nad stan“, pensya męża nie wystarcza na utrzymanie rodziny, narzekania są coraz częstsze, niezadowolenie coraz większe.

Lecz kto winien, iż gospodarstwo domowe pań naszych nie oblicza dochodu z wydatkami?

Przedewszystkiem winne te domy, które nie wychowały córek na oszczędne i zapobiegliwe



W OCZEKIWANIU.

gospodynie, winne te matki, które nie nauczyły obliczać groszy codziennie wydawanych, winne te szkoły, które nie wyrównywały braków wychowania u młodzieży, pod jej kierunek oddanej.

Sądzi bardzo wiele matek, iż gospodarstwa domowego mają się uczyć tylko te panny, które będą miały kiedyś dwór, bydło, ogród, sad, pole i t. p. A te córeczki, które wychowują się po miastach i po wyjściu za mąż znów będą w miastach mieszkały, te nie potrzebują wcale uczyć się gospodarstwa, bo jeśli tylko będzie grosz, wszystko za niego gotowe dostaną, jeśli grosza będzie mało, to i tak nic nie zaradzą, gdy drożyzna będzie coraz większa.

Na takich błędach oparte rozumowanie doprowadza w istocie do tego, iż dziś mężczyźni boją się żon, wiedzą bowiem dobrze, iż stają się one tylko powodem pomnażania wydatków, a do współdźwigania obowiązków nie mają ani poczucia, ani zamiłowania.

Już pewien żartowniś ujął w czterowiersz to samo zdanie często powtarzane, że kobieta to:

„Dodawanie wydatków
„Odejmowanie z pugilaresu
„Mnożenie kłopotów
„Dzielenie złych humorów.

A chociaż nie o wszystkich da się to samo powiedzieć, jednak przyznać trzeba, iż do wielu gospodyń trafnie wiersz ów może być zastosowany.

Ileż to razy zdarza się tak, iż gdy pani dom prowadzi na wielką skalę, przyjęcia urządza wesołe, strojami zwraca uwagę, mąż bywa co dzień chmurniejszy, co dzień mizerniejszy, a ciężar trosk go przytłaczających staje się co dzień większy.

Zapewne są i odmienne role w tragedyach życia. Są i tacy mężowie, którzy lekkomyślnie trwonią majątek żon, narażają rodziny swe na nędzę, zwalają cały trud pracy utrzymania domu na ramiona żon swoich, lecz o tem kiedyś w osobnej gawędzie pomówimy. Dziś o obowiązkach i powinnościach pań, o tem, czem one mogą być w domowem życiu i jak wiele omyłek czynią, gdy powinności swych nie znają.

Jadwiga S.

Męczenniczki piękności.

„Urok i piękność kobiety“ — powiedział kiedyś z eleganckim ukłonem lord Ch. do pewnej wybitnej piękności na dworcu królewskim, „jest najwspanialszem dziełem Stwórcy!“ Angielska piękność uśmiechnęła się wówczas, pochlebiona ale zarazem drwiąco odpowiedziała: „Piękność kobiety jest — — najcięższą dla niej pracą“ Słowa tak ważne wówczas, nie utraciły i dzisiaj racyi bytu, a co ważniejsza, z czasem zjawił się cały arsenał skonstruowanych „maszyn piękności“ któremi się elegancka dama‘ w dyskretnem zaciszu swego buduaru posługuje, ażeby dopomódz naturze tam, gdzie czego zawiele lub za mało, i — ażeby nagiąć ją do kaprysów mody. Poetyczna — egzaltowana — opiewana, płeć piękna, staje się heroiną — bez rozgłosu — tajemniczą męczenniczką — znoszącą bez skargi tortury i cierpienia ze świadomością, że — jutro wstanie piękniejszą — młodszą — bardziej uroczą, aniżeli wczoraj i dzisiaj ją widziano.

W pewnej amerykańskiej gazecie czytałam właśnie o tych toaletowych tajemnicach, które mogłyby sławą otoczyć heroizm kobiety, gdyby z tą ślepą tęsknotą — piękności — nie było połączone krótkowidztwo. Jednym z najnowszych wynalazków, to skomplikowany aparat do wygładzania zmarszków i fałdów na twarzy. Każdego wieczora, kiedy piękna pani uwolni się z gorsetu i pięknej „roby“ i kiedy z westchnieniem ulgi pragnęłaby we śnie znaleść spoczynek, po zmudnie spędzonym dniu wśród rozkoszy życia, wkłada ową „maszynę“. Na czoło, podbródek, szyję i gors, wciska z siłą, o którą trudnoby posądzić jej białe delikatne dłonie — bandaże nasiąknięte rodzajem miękkiego gipsu, których zadaniem, wyciągnąć i wygładzić skórę. Na te bandaże aparat drugi, tłoczący, prasujący, na który jeszcze jeden bandaż ze skóry zesznurowany mocno po bokach, i w tem to narzędziu tortury oczekuje modna dama bożka snu!

Teorya powiada, że pod tą „straszną“ maską literalnie wszystkie fałdziki i zmarszki znikają. Ale — żądna podziwu istota, nie myśli o niebezpiecznych następstwach tego niehygienicznego rozciągania i mączenia twarzy i skóry a skutki muszą czy prędzej czy później nastąpić. Skóra staje się żółtą i suchą, a ściskanie szyji, jest powodem rozmaitych chorób. — Kiedy za czasów istnienia tortur w wiekach średnich wynaleziono śrubę do ściskania palców, ażeby wśród straszliwych mąk wydobyć z nieszczęśliwych wyznania,

nie myślano, że w pięćset lat później — kobiety dobrowolnie i codziennie poddadzą się tej torturze. Modny „ściskacz palców“ nie jest wprawdzie żelaznem, starodawnem narzędziem, jest pięknie niklowanem, lub może być i ze srebra, ale — pomimo tego, pozostanie „ściskaczem palców“, cel tylko zmieniony: dzisiaj używają damy tej maszyny dla nadania palcom pięknej szpiczastej foremności. Członki, paznokcie, kości, silnie są ściśnięte, ale — bolesny — cichy jęk „pięknej“ tłumi świadomość, że „jutro mieć będzie najpiękniejszą rękę“. Ale nie dość na tem, jeśli dama nie chce poprzestać na palcach, gdyż niezadowoloną jest z całej ręki, wówczas używa jeszcze silniejszego środka i całą rękę bandażuje tak silnie, że cyrkulacya krwi ustaje.

W następstwie — nazajutrz, ręka jest przejrzyście białą i delikatną, a z powodu utrudnionej cyrkulacyi krwi, traci również na objętości, jest mniejszą. Ale i tu — mści się natura; tak wycięczona ręka, starzeje się prędzej, żółknie, marszczy się i kurczy, i — po upływie krótkiego czasu „piękna“ spostrzega z rozpaczą, że — posiada rękę zgrzybiałej staruszki, której już nic nie pomoże.

I rysy twarzy nawet zmienić można, nadać nowe linie, — braki zapełnić, — nos przeprzekształcić niczem jest teraz wobec sztuki lepienia woskiem... Doktorzy — naturalnie, zaręczają że wosk bardzo jest niewinnym środkiem; w rezultacie inaczej to jednak wygląda i najszkodliwiej również działa na wygląd i świeżość skóry. Ale — niestety — pragnienie piękności zabija troskę o przyszłości; wzrasta z każdym rokiem liczba kobiet poddających się tym bolesnym okropnym operacyom, ażeby — choć na krótki czas — stojąc przed zwierciadłem uśmiechać się rozkosznie do samej siebie — z myślą: „Jesteś piękną.“

Złote ziarna

Piszących świat ma dziś wielu,
Lecz jakże takich jest mało,
Co mając dobro ogólne na celu,
Myśl piękną w piękne oblekają ciało.

A wiecie czemu? bo rzecz zdrożna, płocha
Silniej pociąga dziś ludzi —
Świat się w skandalach i ploteczkach kocha,
A zdrowy morał go nudzi.

Jordan.

DLA NASZEJ DZIATWY

List do domu.

Kochana Mamusiu!
Już wszystkie moje skończyłem zadania,
Już się koledzy szykują do spania
Lecz ja list piszę, bo mi moja Mamo
Tęskno do Ciebie. (Łeska spadła plamą,
To ona Tobie najlepiej opowie,
Co jest w mem sercu i w myśli i głowie).
Czy też Mamusia sobie przypomina
Czasem Swojego najmłodszego syna?
Rodzeństwo, Tatuś, czy o mnie pamięta?
Szkoda, że przeszły już te miłe święta,
Na wsi tak ślicznie, a tu nuda taka,
Nie weź mnie tylko Mamo za próżniaka,
Nie, wstydu za nic nie chcę zrobić Tobie,
Do każdej lekcyi mej się przysposobię,
Jestem dość pilny (nie myśl że się chwalę,
Ale nagrodę chcę wziąć po kwartale).
Kwartał czas długi, tyle dni i chwilek,
A ja bym do Was pragnął jak motylek
Na skrzydłach frunąć, uściskać Was mocno.
Ale czas skończyć, bo nam porą nocną
Nie wolno pisać, tylko rączki jeszcze
Mojej Mamusi uściskam, upieszczę,
Tylko ci nóżki ucałuję obie
I kocham Ciebie, jeszcze szepnę Tobie,
Dobranoc Mamo! słyszę słów Twych echo:
Pamiętaj Franiu byś był mi pociechą!
O będę Mamo Twych starych dni chwałą,
Tak, jak dziś jestem Twoim duszą całą
synkiem Franusiem.

Paula Wężyk.

Do dziewczynki.

Dość bezmyślnych igraszek, zabawy,
Z dziewczątka rychło wyrośniesz w dziewoję,
Pomnij, że trzeba dla najdroższej sprawy,
Poświęcić nieraz całe życie swoje.
Bo gmach powstaje z cegiełek tysiąca,
A każdy winien choć jedną nieść w darze,
Więc i ty dziewczę choć chwiejna i drżąca
Przy narodowym stań już dziś sztandarze
I nie śmiech pusty, lecz niech czas ci skraca,
Praca nad sobą i dla drugich praca!

Paula Wężyk.

Skrzynka Redakcyi.

WP. *K. P., St. G., H. Z, J. H.* — Równocześnie wysyłamy w wiadomej sprawie listy.

WP. *P. Kom.* Poleciliśmy wysłać. Prosimy o pamięć.

WP. *Cz.* Czy list Was nie doszedł? Dla czego nie dotrzymujecie przyrzeczenia.

„*Pierwiosnek*“. Nadesłane nam przez p. K. wiersze otrzymaliśmy, ale niestety ogłaszać ich nie możemy. Są to dopiero zaczątki, które mogą mieć dla WP. wartość subjektywną, ale nie nadają się wcale do pisma. Wolelibyśmy inne próby prozą.

WP. *St. B.* Niektóre rzeczy, jak WP. widzi, zużytkowaliśmy w nrze poprzednim, inne obecnie.

WP. *Adam Jan.* w Chor. W tej sprawie, o której WP. wspomina, mamy plan osobny, z jakim „Tygodnik“ niebawem wystąpi.

WP. *J. Szn.* Znajdzie Pan w jednym z następnych nrów „Tygodnika“.

Rozwiązanie zagadek

zamieszczonych w nr. 1-szym „Tygodnika Narodowego“:

Zagadka 1. Batory.
„ 2. Kuropatwa.
„ 3. Ptaków 4, drzew 3.
„ 4. 5 i 7 owiec.

Trafne rozwiązanie nadesłali P.P.: J. Alda, Wiktor Bazanowski, Janina Barucka, Tadeusz Burzyński, ks. dr. Teofil Chciuk, Marcin Cieśla, Michał Chciuk, Aleksander Drwal, ks. Edward Dziewoński, Józef Drewko, Kajetan Dudziak, Marya Dręgowska, Lambert Grosse, Gawron, Edmund Gibisz, Zygmunt Gaudnik, Michał Geneja, Edmund Gilewicz, Jadwiga Gołbowa, Marya Hass, Hipolit Jurkiewicz, Walerya Jankowska, Helena Jaroszówna, Lambert Jochmann, Albin Krogulski, Henryk Królicki, Henryk Krysakowski, Julian Krzysztofowicz, Marya Koczwarowa, Stanisław de Karaś, Teodozya Kraliczek, Juliusz Kallaus, ks. Krysakowski, Wojciech Klocek, Gabryel Leńczyk, ks. Lechicki, Jadwiga Lerchówna, Stanisław Maciaszek, Stanisław Mossor, Józef Majgier, Miecz. Nowosielecki, Alina Panasiewiczówna, Bolesław Popiel, ks. Franciszek Rączka, Z. Radziwiłłowa, Helena Różycka, E. Rudziński, B. Rychlik, Stanisław Szostak, Tadeusz Szulz, Stanisław Sierosławski, Marya Sklenarska, Schille, Wojciech Slósarz, Zofia Starowiejska, Franciszek Szewczyk, A. Szmoniewski, Adam Tyran, Wł. Trybała, Emilia Tatarówna, W. Tarnawska, Urszulanki, Leon Wnękowski, Józefa Wilkoniówna, Tadeusz Wysoczański, Wincenty Ziarkiewicz, Romuald Zbiegeń.

Częściowe trafne rozwiązanie nadesłali PP.: Józef Brończyk, J. Bogusz, Jan Czarnota, Jan Cach, Władysław Danko, Br. Duchowicz, Władysław Dubaj, Eleuterya (Marya Jarecka), Teofil Francke, Józef Głuszak, Emil Gruszecki, ks. Jan Kielar, Stanisław Kawecki, Karol Kowalski, Zygmunt Kozicki, Marya Kwaśniewska, Stanisław Lenartowicz, Ludwik Mazur, Helena Myconiówna, Marya Miszewska, Amelia Michejdowa, R. Manowarda, Tadeusz Niemczyński, Józef Siła Nowicki, Antoni Opielowicz, ks. Wincenty Osikowski, Zofia Paneszowa, Józef Pieszczoch, Jan Pyszko, Ludmiła Podolska, Wilhelm Rückemann, Jan Ramułt, Olga Righetti, Ignacy Styrnał, Bronisława Szóstkiewiczowa Julian Steindl, Świerkosz, Aleksander Stobiecki, Emil Schayer, Karol Tomczyk, Zofia Zborowska.

Wynik losowania nagród dla całorocznych prenumeratorów „Tygodnika Narodowego“.

Pierwszą nagrodę: *Baczyńskiego „Dzieje Polski“* (cena księgarska 16 koron) otrzymał p. *Gabryel Leńczyk* nauczyciel w Ulanowie.

Drugą nagrodę: *Lucyana Rydla „Królowa Jadwiga“* (cena księgarska 18 koron) otrzymał p. *Michał Geneja* w Radomyślu.

Trzecią nagrodę: „*Album jubileuszowe Grunwald*“ (cena księgarska 12 koron) otrzymała pani *Marya Dręgowska* ck. pocztmistrzyni w Zaborowie.

Wynik losowania nagród dla półrocznych wzgl. kwartalnych prenumeratorów „Tygodnika Narodowego“.

Pierwszą nagrodę: „*Album jubileuszowe Grunwald*“ otrzymała p. *Zofia Starowiejska* we Lwowie.

Drugą nagrodę: *Poezye Juliusza Słowackiego* otrzymała p. *W. Tarnawska* w Przemyślu.

Trzecią nagrodę: *Album wojska polskiego* otrzymał p. *Stanisław Maciaszek* w Krakowie.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

W blasku ogniska ukazała się postać nowa, człek zdyszany, a mimo chłodu nocnego ocierający pot z czoła.

Był to w istocie spodziewany Samocha, stary szlachcic, sługa a towarzysz nieoddzielny pułkownika Skiby, prawa jego ręka, choć dwóch ludzi mniej do siebie podobnych, znaleść było trudno. Stary pułkownik wyglądał na powstałego z grobu krzyżowca, Samocha zaś miał sobie właściwą postać oryginalną i fizyognomią, której nie łatwo było do czego porównać.

Człeczyna był mały, krępy, przysadzisty, do siedzenia w siodle stworzony, a oduczony od chodzenia po ziemi. Mimo małego wzrostu kości znać miał grube, ręce żylaste i silne, łeb turzy, oczy w nim małe, wgłębione, ogniste. Twarzy ogorzałej towarzyszył wąs nieprzycinany, długi, spadający aż na piersi, biało żółty.

O ile Skiba poważną, ten miał jakąś żartobliwą postać, niby obozowego trefnisia; uśmiechu z pod wąsa trudno było dopatrzeć, ale marszczki w koło ust i oczów go zdradzały. Cały obwieszony był świętościami, miał szkaplerze na piersi i różaniec przy zbroi i ryngraf ze św. Józefem, patronem dobrej śmierci i krzyż wyszyty na lewym boku. Znać w życiu nieraz w opałach bywał, bo na czaszce, na policzkach, na brodzie pełno było szram białych, sinych, czerwonych, głębokich; — pary palców mu u ręki prawej brakło, a na jedną nogę nieco nakuliwał.

Szpakowaty, czerwony, spalony, bystry i żywy był choć stary.

Po pułkowniku on rej wodził wszędzie, w rzeszy był jego adjutantem, powiernikiem, sługą.

On pierwszy poczynał pieśni i modlitwy w obozie i w potyczce; gdy głodno bywalo, bawił a karmił żartami; w złym razie dodawał ochoty i humoru szydząc z upadłych na duchu. Już mu wesołość tak weszła w naturę, że gdy raz posiekanego, na poły żywego niesiono, a krew zeń ciekła jak z beczki, jeszcze się do ludzi odezwał:

— Ot co juchy płynie darmo, gdyby tak z innego bożego stworzenia, byłaby przynajmniej kwaśna polewka.

O cudze życie tak mało dbał jak o własne, tylko do pułkownika przywiązany był jak pies. Skiba go też kochał, choć się nieustannie sprzeczali.

Samocha wszedł, tarł czoło, stał, z twarzy znać było frasunek, choć go w sobie taił.

— Cóż ty tam przynosisz, Samocha?

— A no, pułkowniku, dobrego teraz na targu nie dostać — odparł skrobiąc się po łysinie i wahając z nogi na nogę stary rębacz. — Moskaliska zawalili nam drogę do Krakowa, do Tyńca, a choćby i w inną stronę, tak że gdziem się potknął albo nos w nos, albo po nich jeszcze świeżo dziegciem śmierdziało. Mówią że w Krakowie i okolicy ma być do pięciu tysięcy. Zkąd się to psiarstwo bierze.

— No, dowiedziałeś się, w Tyńcu, w Lanckoronie, w Bobrku, w Częstochowie trzymają się nasi?

— Trzymają się ale słabo... jest tam znowu tych rozumnych Francuzów siła... Moskwa przecie nie rozumem to tłumem nas zaleje.

— Cóż że ich siła wielka — zawołał pułkownik — że tego chłopstwa napędzą... inaczej liczyć to pijane żołdactwo a ludzi... gdyby ich było i trzy i czterykroć tyle co nas... cóż to znaczy?

— Tak, cztery i pięć, to nic — szepnął Samocha kręcąc głową — a jak dziesięć?

— Mnie bądź co bądź, do Tyńca się dostać potrzeba! — dodał Skiba.

— Ja to wiem że musimy — rzekł Samocha — ale już nie inaczej jak przebojem. A czasu tracić nie ma co. Musim się przekradać nocami, we dnie po lasach i błotach siedzieć... inaczej nas wytłuką do nogi. Tylko tu pod Ojcowem Moskali jeszcze nie widać... ale jak nam tu w wąwozach drogę zaprą, ciężko się przerzynać przyjdzie. Drogę opatrzyłem, poprowadzę; konie siodłać i póki ciemno ruszać trzeba.

— Więc nie zwłóczyć, ludzie się wywczasowali — rzekł Skiba — dać zaraz rozkaz do wymarszu, cicho, przez kułak zatrąbić, niech wiara wstaje, darmo spać dłużej! Na koń!

— To dobrze, dobrze — mruknął Samocha — ale nim wyjedziemy, mój pułkowniku — rzekł z ukłonem — potrzeba skończyć z tym.

Wskazał w głąb pieczary.

— Co mi ty znowu prawisz swoje? — ofuknął pułkownik.

— No, bo skończyć należy. Po co to żywić to wszeteczeństwo. Toć to jest szpieg Branickiego, odezw miał torbę pełną, lepszego przekonania trudno, to z nim na gałąź!

— Jużem mówił — surowo odparł Skiba — ludzkiem życiem szafować nie lubię. Sędzią mu być niechcę, katem nie byłem i nie będę. Związanego poprowadzim i odda się komu należy.

— Ojcze pułkowniku — prosił Samocha — po co my ten ciężar plugawy mamy wieść z sobą? Ksiądz by go porządnie wyspowiadał, sumienie mu wyczyścił jak się patrzy, i na gałąź.

— Samocha, daj mi pokój — groźno rzekł pułkownik.

— No, to go bestyę rozstrzelać — dodał uparty Samocha — toć już krzywdy mieć nie będzie.

— Samocha, na śmierć nie pozwolę — głośno zawołał pułkownik — nie chcę się krwią plamić. Nie sędzia jestem, nie oprawca, ale żołnierz.

— Ależ wojna! a to... szpieg!

— Co to wojna — krzyknął Skiba niecierpliwiąc się — czy to ty nas masz za pospolitych żołnierzy, za jakąś szajkę rębaczy? Spojrzże na piersi, zobacz krzyż na szabli drugi, a w sercu mieć powinieneś trzeci.

— Ojcze, zdrajca niegodny!

— Któż wie, tłumaczy się że nie wiedział co mu dano, a minę ma głupią.

— Ojcze, udaje głupiego, a frant. Krakowskim targiem — schylając się do kolan Skiby, szepnął Samocha — pozwólcie mu dać trzysta płazów i niech sobie rusza się wylizywać.

— Stary ty rzeźniku — rzekł pułkownik — nienasycony, niepoprawny... idź a rób co ci mówię... czasu niema do stracenia! do koni!

— No, no, wola wasza — mruknął Samocha, targając wąsa — ale się klnę żem do was dawno takiego żalu nie miał... no, no! abyście tylko waszej miękkości nie żałowali, ja ręce umywam.

Spostrzegłszy nową twarz dorodnego młodzieńca, nie mógł się jeszcze wstrzymać stary, aby nie popytać po cichu, popatrzał na Karola, uśmiechnął się.

— Od takiego przybytku głowa nie boli — szepnął.

Zaczęto tedy obwoływać do koni.

W głębi pieczary na dany znak, ten pokotem leżący ludzi złom ruszył się, drgnął i zerwał na nogi, jakby z ziemi powyrastali. Roiło się czarnemi cieniami, które zdawały się z grobów wstawać milczące. Od krzyża na piersi dzień się poczynał.

Cisza, spokój, ład był wielki mimo pospiechu.

Samocha stał mrucząc, nierad z wodza.

— On to swoją dobrocią gubi wszystko! Co jabym takiego trutnia miał żywić, czy to żyć warto? zły, to na szubienicę... głupi, po co rozumnym chleb odjada... ale gdzie on głupi?

Garść ludzi Skiby nie była liczna, ale doborna, drab w draba silni, a jednym ożywieni duchem.

Pułkownik zwał ich braćmi, a byli niemi nie tylko po miłości ale i zakonie, który od początku konfederacyi do końca jej trzymali.

Gdy w świętej myśli poczęta owa konfederacya Markowa rozprzęgała się drobnemi intrygami ludzkiemi, na pierwszej wysokości jej tylko Pułascy i Skiba utrzymać się potrafił.

Już tedy wszystko ciągnęło w milczeniu na stanowisko, ale zwykłym trybem od pieśni porannej począć nie było można, bo przed nieprzyjacielem mogła ich zdradzić; po cichu każdy szeptał modlitwę.

Tymczasem na prędce wpośród pieczary wzniesiono ołtarzyk do mszy świętej.

Stary kamień, trochę mchu i zbroi złożyły się na stół ofiarny, nad którym powiewała chorągiew z Matką Boską i Chrystusem.

Dwóch starców przy szablach do mszy służyli. Na przodzie ukląkł Skiba z rękami do góry podniesionemi.

I stała się cisza wielka, tak że kapłana modlitwę słychać było, a że losy jutra... zakryte... każdy słuchał, jakby w życiu mszy ostatniej. W czasie Ewangielii starym obyczajem szczęknęły na pół podobywane szable, na znak gotowości do obrony wiary świętej.

Kilkunastu przystępowało do komunii; w końcu ksiądz od ołtarza dał błogosławieństwo. Pochyliły się kornie głowy, uderzyły ręce w piersi, wszyscy wstali; chorążowie ujęli chorągwie, a nim ołtarz rozebrano, już w dolinie okrytej mrokiem szarym porankiem hufiec się zgromadził.

Kilku cichemi słowy rozporządzono pochód. Naprzód miała iść szpica, główny oddział po środku, z tyłu mała garść w osłonie od napadu niespodzianego.

Wszystko było w pogotowiu do wymarszu, gdy Samocha, który miał iść z tyłu, głośno począł kląć i łajać w pieczarze... pułkownik oburzył się i pogniewał, sam rzucił się ku niemu, obawiając jakiego gwałtu.

Szło o zapomnianego owego szlachetkę wziętego z papierami i proklamacyami królewskiemi; którego związawszy w kącie rzucono, nimby się jego losy rozstrzygnęły.

Na samem wychodnem poszedł po niego Samocha, chcąc go uwiązanego przy swym koniu prowadzić, ale... nie znalazł. Pogryzione i stargane sznury leżały na ziemi, szlachcic wpadł jak w wodę.

Szukano go wszędzie po kątach pieczary, ale jak tam było odkryć, jeśli uchodząc śmierci, zaszył się w jaką niedostępną kryjówkę. Samocha klął, Skiba się srożył.

— Bóg z nim — rzekł — niewielka strata... rzuć do licha, nie ma czasu do stracenia.

— Bogać niewielka strata — wołał Samocha targając czuprynę — toć to nas obliczyło podsłuchało... a jeżeli uszedł... nie pomoże nam pewnie.

Szukać było próżno, boleć na nie wiele się zdało, a gniewać się jak Samocha, toż było darmo... przecie się gniewał na siebie, na sznury i że go prywatnie, nie pytając nikogo, summaryjnym sądem, sam nie obwiesił od razu.

Mruczał na pułkownika, gdy Skiba zniecierpliwiony, krzyknął:

— Milczeć! niech lepiej winny mi ujdzie, niżby niewinny miał być karany... życia ludzkiego nie lekceważmy: Naprzód!

— Naprzód!

Stary milcząc dosiadł konia, wszyscy się przeżegnali, kapelan głośniej rozpoczął modlitwę, którą kończono po cichu:

„Panie Boże nasz, któremu wszelka cześć, pokłon i bojaźń należy, Królu nieba i ziemi, w którego ręku wszystkie królestwa...“

Ranek był smętny, powietrze chłodne, mroki jeszcze zalegały dolinę... górą wiatr pędził rozerwane obłoki po ołowianem niebie.

Same uszykowały się konie, ciężki chód ich zatętniał... zdałoby się zdala, że to pochód duchów o świcie wracających do mogił cmentarnych.

Za szarego mroku pospieszać było potrzeba, aby przebyć część drogi najniebezpieczniejszą, nie postrzeżonym.

Karola postawiono na prośbę jego nieopodal od chorągwi — serce mu rosło, gdy na nią spojrzał. Szli tak wolno w cichości, kiedy niekiedy koń parsknął, głos silniejszy przedarł milczenie i znowu tylko chrzęst żelaza i stąpanie koni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

I.

OCHOTNICY.

Było to wieczorem 10. marca 1793 r. Na wieży kościoła Panny Maryi wybiła dziesiąta, a każdy dźwięk zegaru oderwany jeden od drugiego, niby ptak co wyleciał z brązowego gniazda, rozległ się w powietrzu smutny, monotonny, drgający.

Nad Paryżem zaległa noc, nie hałaśliwa, burzliwa i przerywana błyskawicami, lecz noc zimna i mglista.

Innym był wówczas Paryż niźli go dzisiaj znamy, dziś oślepia on wieczorem tysiącami ogni odbijających się w złocistem jego błocie, dziś pełen jest zajętych przechodniów, radosnych szeptów, ma bachiczne przedmieścia, jest szkółką zuchwałych sporów, śmiałych występków, piecem o tysiącu kominach; wówczas zaś było to miasto wstydliwe, bojaźliwe, zatrudnione, którego mieszkańcy przebiegając kiedy niekiedy z jednej ulicy na drugą kryli się w zakątkach lub pod własne bramy, na kształt zwierzyny co osaczona przez strzelców we własnej norze dusić się daje.

Był to nakoniec, jak powiedzieliśmy, Paryż w dniu 10. marca 1793 r.

Wspomnijmy nieco o okropnym stanie rzeczy, który wywołał taką zmianę w obliczu stolicy, a następnie przyjdziemy do wypadków, których opowiadanie stanowić będzie przedmiot niniejszego dzieła.

Przez śmierć króla Ludwika XVI, Francya zerwała z całą Europą. Do trzech nieprzyjaciół, z któremi naprzód walczyła, to jest: do Prus, Cesarstwa i Piemontu, przyłączyły się Anglia, Holandya i Hiszpania. Sama tylko Szwecya i Dania zachowały dawną swą neutralność.

Położenie Francyi było przerażające. Mniej pogardzana dla fizycznej swej potęgi, lecz także mniej poważana dla swej potęgi moralnej od czasu wrześniowej rzezi i egzekucyi w dniu 21 stycznia, literalnie blokowaną była przez całą Europę, jak proste miasto. Na brzegach jej widziano Anglię, w Pyreneach Hiszpanię, w Alpach Austryę i Piemont, w północnych prowincyach Holandyą i Prusy, a pomiędzy górnym Renem a Escaut, dwakroć sto tysięcy żołnierza postępowało przeciw Rzeczypospolitej.

Zewsząd jenerałów naszych wyparto. Miączyński opuścić musiał Akwizgran i cofnąć się ku Leodium; Steingla i Neuli odparto w Limburgskie; Miranda, który oblegał Mastrycht zrejterował ku Turyngii. Valence i Dampierze, zmuszeni do odwrotu dozwolili wydrzeć sobie część bagaży. Przeszło dziesięć tysięcy zbiegów opuściwszy armię, rozsypało się po kraju. Nakoniec Konwencya pokładając jedyną nadzieję w jenerale Dumouriez, wyprawiała do niego gońca za gońcem z zaleceniem, aby opuścił brzegi Bizboszy, gdzie przygotowywał się do wylądowania w Holandyi, a przybywał objąć dowództwo armii rozłożonej nad rzeką Meuse.

Tkliwa, jak każde ożywione ciało, Francya, we właściwem swem sercu, to jest w Paryżu, boleśnie uczuwała każdy cios, jaki z jej najodleglejszych punktów zadawały napady, bunty lub zdrady, każde zwycięstwo wywoływało buntowniczą radość, każda porażka rodziła pełne zgrozy powstania. Łatwo więc pojąć jakiego zgiełku powodem były wiadomości o niepowodzeniach, których doznawaliśmy po kolei.

W wigilią, to jest 9 marca w Konwencyi odbyło się jedno z najburzliwszych posiedzeń; wszystkim oficerom wydano rozkaz udania się natychmiast do swych pułków, a Danton, ów śmiały projektant rzeczy niepodobnych, które się jednak spełniły, wstępując na mownicę, zawołał: „Brak wojska, powiadacie! nastręczmy Paryżowi sposobność ocalenia Francyi, zażądajmy od niego trzydziestu tysięcy ludzi, poszlijmy ich Dumou-

riemu, a nietylko Francya zostanie ocaloną, Belgia utrzymaną, ale i Hollandya podbitą".

Projekt ten przyjęto pełnemi uniesienia okrzyki. Wezwano sekcye do zebrania się tego jeszcze wieczoru; pootwierano w nich listy. Zamknięto widowiska dla przeszkodzenia wszelkiemu roztargnieniu, a na ratuszu na znak frasunku zatknięto czarny sztandar.

Przed północą trzydzieści tysięcy nazwisk zapisało się w te listy.

Tego jednakże wieczoru powtórzyło się to, co miało miejsce w dniach wrześniowych, ochotnicy zapisujący się w każdej sekcyi, żądali, aby przed wyruszeniem ich ukarano zdrajców.

Zdrajcami zaś byli to w rzeczy samej kontrrewolucyoniści, skryci spiskowi, którzy wewnątrz grozili rewolucyi zagrożonej zewnątrz. Lecz, jak łatwo pojąć, nazwa ta przybierała rozciągłość, jaką jej wedle własnego upodobania nadawały stronnictwa, podówczas szarpiące Francyą. Że zaś żyrondziści byli najsłabsi; górale więc zadecydowali że oni to są zdrajcami*).

Nazajutrz, dnia 10 marca, wszyscy deputowani góralscy znajdowali się na posiedzeniu. Uzbrojeni Jakobini zajęli trybuny, wygnawszy z nich kobiety, w tem zjawia się mer z radą gminy, potwierdza raport konwencyjnych komisarzy o poświęceniu się obywateli, ale zarazem powtarza oświadczone wczoraj jednomyślne życzenie, aby ustanowiono nadzwyczajny trybunał do sądzenia zdrajców.

Natychmiast z wielkim hałasem zażądano raportu komitetu. Ten wnet się zgromadził, a w dziesięć minut potem Robert Lindet przybył z oświadczeniem, że mianowany będzie trybunał, złożony z dziewięciu sędziów, niezależnych od żadnych formalności, nabywających przekonania wszelkiemi sposobami, podzielony na dwie ciągle istniejące sekcye i ścigający, na żądanie Konwencyi lub bezpośrednio, wszystkich pragnących obłąkać naród.

Widzimy więc, że rozciągłość była wielką. Żyrondziści widzieli w tem wyrok wydany na siebie i powstali całą masą. „Raczej umrzemy, zawołali, niźli pozwolimy na urządzenie tej weneckiej inkwizycyi!" Odpowiadając na tę apostrofę, górale głośno zażądali wotowania.

— Tak jest — zawołał Feraud — tak, wotujemy, abyśmy dali poznać światu, ludzi, którzy w imieniu prawa chcą zabijać niewinność.

*) Przez górali montagnardes rozumie się tu członków stronnictwa Góry.

I w rzeczy samej wotowano, a wbrew wszelkiemu przypuszczeniu większość oświadczyła: 1. że ustanowieni będą przysięgli; 2. że wybrani zostaną w równej liczbie z departamentów; 3. że Konwencya mianować ich będzie.

W chwili przyjęcia tych trzech wniosków, powstały głośne okrzyki. Konwencya przyzwyczajona do odwiedzin pospólstwa, kazała spytać, czegoby od niej żądano? odpowiedziano, że deputacya ochotników, którzy obiadowali w składzie zboża, uprasza, aby Konwencya dozwoliła im defilować przed sobą.

Natychmiast otworzono drzwi, i pojawiło się sześćset ludzi uzbrojonych w pałasze, pistolety i piki, na pół pijanych i wśród oklasków defilowało z wielkim hałasem, domagając się śmierci zdrajców.

— Tak jest — odrzekł im Collot-d'Herbois — tak moi przyjaciele, mimo intryg ocalimy was i prawa wasze.

I słowa te poparł spojrzeniem na żyrondystów, dając im do zrozumienia, że nie są jeszcze zupełnie wolni od niebezpieczeństwa.

W rzeczy samej, zaraz po ukończeniu posiedzeniu Konwencyi, górale rozpraszają się po innych klubach, spieszą do braci sznurkowych *) i Jakobinów, projektują wyjęcie zdrajców z pod prawa i wyrżnięcie ich tej jeszcze nocy.

Małżonka Louvet'a mieszkała przy ulicy świętego Honoryusza, w pobliżu Jakobinów. Usłyszawszy tę wrzawę, wychodzi, wstępuje do klubu, dowiaduje się o projekcie i czem prędzej pospiesza donieść o tem mężowi. Louvet uzbraja się, biega od drzwi do drzwi, aby uprzedzić swych przyjaciół, lecz nie zastaje ich u siebie, służący jednego powiada mu, że są u Petion'a; Louvet udaje się tam natychmiast i spostrzega, że najspokojniej radzą nad dekretem, który nazajutrz przedstawić mają — uwiedzeni większością przypadkową, pochlebiając sobie, że go przeprowadzą. Opowiada im, co się dzieje, oświadcza, co przeciw nim knują bracia sznurkowi i Jakobini i nakoniec wzywa, aby ze swej strony obmyślili jaki energiczny środek.

Wówczas Petion jak zawsze spokojny i obojętny, wstaje, idzie do okna, otwiera je, patrzy w niebo, wyciąga ręce na zewnątrz i cofając je zlane wodą, rzecze:

— Deszcz pada, tej nocy nic z tego nie będzie.

Przez to otwarte okno wciskają się ostatnie dźwięki zegaru bijącego dziesiątą godzinę.

*) Bracia sznurkowi Cordeliers byli to braciszkowie reguły świętego Franciszka, tak nazwani od przepasywania się sznurkiem.

Otóż co działo się w Paryżu wieczorem 10 marca i co sprawiało, że wśród tej wilgotnej ciemności, wśród tak groźnego milczenia, domy przeznaczone do chronienia w sobie istot żyjących, teraz nieme i ponure, raczej podobnemi były do grobów umarłemi zaludnionych.

W rzeczy samej, silne patrole gwardyi narodowej pod przewodnictwem wysłanych na zwiady, z nadstawionemi bagnety; wojska obywatelskie, sekcye na los szczęścia uzbrojone i ściśnięte jedne o drugie, żandarmi przeglądający zakątki każdej bramy lub każde otwarte przejście, stanowili jedynych mieszkańców miasta, którzy śmieli wyjść na ulicę, tak dalece własne natchnienie przekonywało wszystkich, że się knuje rzecz straszna, nieznana.

Deszcz cienki i zimny, ten sam co uspokoił Petion'a bardziej jeszcze powiększył zły humor i niezadowolenie czuwających, których każde spotkanie zdawało się być przygotowaniem do potyczki, a którzy z niedowierzaniem poznawszy się, zwolna i niechętnie zamieniali swe hasło. Widząc potem jednych i drugich znowu wracających, rzec można było, że się wzajem lękali, aby ich kto z tyłu nie napadł.

Tego to więc wieczoru, kiedy Paryż padł łupem panicznej trwogi, tak często wznawianej, a do której winien był być mniej więcej przyzwyczajony, tego wieczoru kiedy głucho mówiono o wyrżnięciu oziębłych rewolucyonistów, którzy po większej części warunkowo przegłosowawszy śmierć króla, dziś wahali się wyrzec o śmierci królowej, więzionej w Temple wraz z dziećmi i bratową — jakaś kobieta owinięta w salopę koloru lila w czarne cętki, ukrywszy a raczej zanurzyszwy głowę w kapturze tej salopy, przesuwała się wzdłuż domów ulicy św. Honoryusza, chroniąc się to w głębi jakiej bramy, to za rogiem muru, ilekroć zdala dostrzegła nadchodzący patrol. I stawała nieruchoma jak posąg, zatrzymując oddech aż póki patrol nie przeszedł, i wówczas dopiero znowu biegła szybko i niespokojnie, póki nowe niebezpieczeństwo nie zmusiło ją powtórnie do milczenia i nieruchomości.

Takim sposobem, dzięki przedsiębranym ostrożnościom przebiegła już była bezkarnie część ulicy św. Honoryusza, gdy nagle na rogu ulicy de Grenolle, wpadła nie w ręce patrolu lecz w ręce małego oddziału dzielnych ochotników, którzy obiadowali w składzie zbożowym, a których patryotyzm bardziej jeszcze podżegły liczne toasty wznoszone na sześć przyszłych zwycięztw.

Biedna kobieta krzyknęła i usiłowała umknąć przez ulicę du Coq.

— Hej! hej! obywatelko! — zawołał przywódca ochotników, już bowiem zacni ci potryoci wybrali sobie naczelnika — hej! hej! a dokąd to?

Uciekająca nie odpowiedziała lecz ciągle biegła.

— Pal! — zawołał przywódca — to mężczyzna przebrany! to uciekający arystokrata!

I brzęk dwóch lub trzech strzelb nieregularnie opadających na niepewne ręce, oznajmił biednej kobiecie, że zabierano się do strzału.

— Nie! nie! — zawołała nagle, zatrzymawszy się i wracając — nie, obywatelu, mylisz się; jam nie mężczyzna.

— A więc przystąp — rzekł przywódca — i odpowiadaj kategorycznie. Dokądże to idziesz, nocna piękności?

— Ależ obywatelu, ja nigdzie nie idę... ja powracam.

— Ah! powracasz?

— Tak jest

— Jak na uczciwą kobietę nieco za późno powracasz, obywatelko.

— Idę od chorej krewnej.

— Biedna mała kotka — powiedział przywódca machnąwszy ręką tak, że przelękła kobieta żywo odskoczyła — a gdzie masz twą kartę?

— Kartę? Jakto, obywatelu? Co przez to rozumiesz i czego żądasz odemnie?

— Czy nie znasz dekretu gminy?

— Nie.

— Słyszałaś przecież, jak go obwoływano?

— Wcale nie. Cóż to znowu za dekret, mocny Boże?

— Najprzód, już się teraz nie mówi Bóg, lecz Najwyższa Istota.

— Przepraszam. Omyliłam się. To stary nałóg.

— Zły nałóg, arystokratyczny nałóg.

— Będę się starała poprawić, obywatelu. Lecz mówiłeś...

— Mówiłem, że dekret gminy zabrania wychodzić po godzinie dziesiątej wieczorem bez karty obywatelskiej. Czy masz ją?

— Niestety! nie nam.

— Zapomniałaś jej u twej krewnej?

— Nie wiedziałam, że trzeba wychodzić z taką kartą.

— A więc zajdźmy do najbliższego posterunku, tam wytłómaczysz się grzecznie przed kapitanem, a jeśli będzie z ciebie kontent, każe cię dwom żołnierzom odprowadzić do domu; jeżeli nie, zatrzyma cię aż do czasu powzięcia dokładniejszych

informacyi. Na lewo zwrot, krokiem podwójnym, naprzód, marsz!

Z okrzyku przerażenia jaki wydała uwięziona, przywódca ochotników wniósł, że biedna kobieta mocno się lękała tego środka.

— O ho! — rzekł — jestem pewien, żeśmy jakąś znakomitą zwierzynę złowili. No, dalej w drogę, moja mała.

I przywódzca schwycił rękę podejrzanej, wziął ją pod ramię i mimo krzyków jej i łez pociągnął za sobą do posterunku w pałacu Równości (Palais Egalité).

Zbliżali się właśnie ku rogatce des Sergents, gdy nagle wysoki młodzieniec otulony płaszczem pokazał się na rogu ulicy des Petits-Champs, w chwili, gdy uwięziona błaganiami usiłowała odzyskać wolność.

Ale przywódca ochotników nic nie słuchając, grubiańsko pociągnął ją za sobą.

Kobieta krzyknęła już to z przestrachu, już z bólu.

Młodzieniec widział tę walkę, słyszał krzyk, przeskoczywszy więc z jednej strony ulicy na drugą, spotkał się oko w oko z małym oddziałem?

— Co to jest, co robicie tej kobiecie? — spytał tego, który wyglądał na przywódcę.

— Nim mię będziesz pytał, pilnuj wprzód swej skóry.

— Co to za kobieta, obywatele i czego od niej chcecie? — powtórzył młodzieniec głosem rozkazującym.

— Lecz ty co za jeden jesteś, że śmiesz nas zapytywać.

Młodzieniec rozpiął płaszcz i na wojskowym jego mundurze zabłysła szlifa.

— Jestem oficerem — rzekł — jak to widzicie.

— Oficerem? gdzie?

— W gwardyi obywatelskiej.

— Cóż stąd! cóż nam do tego? — odparł jeden z oddziału — my nie znamy żadnych oficcerów gwardyi obywatelskiej!

— Co, co on tam mówi? — zapytał drugi przeciągłym i ironicznym akcentem ludu, a raczej pospólstwa paryskiego, skoro się gniewać poczyna.

— On mówi — powtórzył młodzieniec — że jeżeli szlifa nie nakazuje szacunku dla oficera, to pałasz nakaże szacunek dla szlify.

To mówiąc, nieznajomy obrońca młodej kobiety, cofnął się krok wstecz, odrzucił fałdy swego płaszcza i przy świetle latarni błysnął szerokim pałaszem. Potem nagłem poruszeniem schwycił przywódcę ochotników za kołnierz jego kapoty i przytykając mu koniec pałasza do gardła, rzekł:

— Teraz pomówmy z sobą po przyjacielsku.

— Ależ obywatelu — odpowiedział przywódca, usiłując się wyrwać.

— Ach! uprzedzam cię, że skoro się tylko ruszysz, skoro się ruszy który z twoich ludzi, natychmiast przeszyję cię mym pałaszem.

Tymczasem dwaj ludzie z oddziału ciągle pilnowali kobiety.

— Pytałeś mię, kto jestem — mówił dalej młodzieniec — chociaż nie miałeś do tego prawa, bo nie jesteś dowódcą regularnego patrolu. Mniejsza jednak o to, wiedz, że nazywam się Maurycy Lindey; dnia 10. kwietnia dowodziłem bateryą kanonierów. Jestem porucznikiem narodowej gwardyi i sekretarzem sekcyi Braci i Przyjaciół. Czy to dosyć?

— Ach! obywatelu poruczniku — odrzekł przywódca ciągle zagrożony ostrzem, które mu coraz bardziej ciążyło — to wcale co innego! Jeżeli jesteś w istocie tem, czem się być mienisz, to jest dobrym patryotą..

— Aha, wiedziałem dobrze, że trochę z sobą pogadawszy, wnet się porozumiemy. No, na ciebie teraz kolej, odpowiadaj, dlaczego ta kobieta krzyczała i coście jej zrobili?

— Prowadziliśmy ją do kordegardy.

— A to dlaczego?

— Bo nie ma karty obywatelskiej, a ostatni dekret gminy rozkazuje aresztować każdego spotkanego po dziesiątej na ulicach Paryża bez karty obywatelskiej. Miałżebyś zapomnieć, że ojczyzna w niebezpieczeństwie, że czarny sztandar powiewa na ratuszu?

— Czarny sztandar powiewa na ratuszu i ojczyzna w niebezpieczeństwie, bo dwustu niewolników maszeruje do Francyi — odrzekł oficer — a nie zaś dlatego, że kobieta chodzi po ulicach Paryża po godzinie dziesiątej. Lecz mniejsza o to obywatele, gmina wydala dekret, jesteście w waszem prawie, i gdybyście mi byli to wszystko od razu oświadczyli, porozumienie nasze byłoby prędsze i nie tak burzliwe. Dobrze jest być patryotą, ale nie źle także znać się na grzeczności, a nadto: obywatele winni szanować oficerów, których, jak mi się zdaje, sami mianowali. A teraz prowadźcie sobie tę kobietę, jeżeli tak się wam podoba.

— Oh! obywatelu — zawołała z kolei kobieta, która z głęboką trwogą słuchała tego sporu, chwytając Maurycego za rękę. — Oh! obywatelu! nie zostawiaj mię na łaskę tych grubianów na pół pijanych.

— Dobrze — odpowiedział Maurycy — podaj mi twą rękę, odprowadzę cię wraz z nimi do posterunku.

— Do posterunku! — z trwogą powtórzyła kobieta — do posterunku! a po cóż mnie tam prowadzić macie, skorom nikomu nic złego nie wyrządziła?

— Prowadzą cię do posterunku — powiedział Maurycy — nie dlatego, żeś coś złego zrobiła, nie dlatego, że się złego dopuścić możesz, lecz że dekret gminy zabrania wychodzić bez karty, której nie masz.

— Ależ panie, ja nie wiedziałam.

— Obywatelko, znajdziesz w posterunku zacnych ludzi, którzy ocenią twoje tłumaczenie się i których wcale nie powinnaś obawiać się.

— Panie — powiedziała młoda kobieta, ściskając rękę oficera — ja nie obawiam się zniewag lecz śmierci, a jeżeli zaprowadzą mię do posterunku, będę zgubioną.

II.
NIEZNAJOMA.

W głosie tej kobiety tyle było zarazem obawy i znakomitości, że Maurycy zadrżał. Drgający ten głos jak prąd elektryczny przeniknął do jego serca.

Odwrócił się ku naradzającym się ochotnikom. Upokorzeni tem, że jeden człowiek umiał ich zatrzymać, widocznie rozmyślali nad odzyskaniem pola bitwy; było ich ośmiu przeciw jednemu, trzech miało strzelby, inni zaś pistolety i piki. Maurycy miał tylko pałasz; walka więc nie mogła być równą.

Kobieta równie dobrze to pojęła, gdyż zwiesiwszy głowę na piersi, westchnęła.

Maurycy zaś zmarszczywszy brwi, zacisnąwszy zęby, z ciągle wydobytym pałaszem, walczył z uczuciem człowieka, które mu nakazywało bronić tej kobiety, a między obowiązkiem obywatela, który mu radził wydać ją.

Nagle na rogu ulicy Bons-Enfants zabłysło kilka luf karabinowych, i usłyszano marsz patrolu, który widząc jakieś zgromadzenie, zatrzymał się o kilka kroków i przez swego kaprala zapytał — kto idzie!

— Przyjaciel! — odrzekł Maurycy — Przyjaciel! zbliż się tu Lorin.

Ten, któremu rozkaz taki wydano, stanął na czele swych ośmiu żołnierzy i żywo się zbliżył.

— Czy to ty Maurycy? — rzekł kapral — ah! rozpustniku, co robisz o tej godzinie na ulicy?

— Widzisz, że wychodzę z sekcyi Braci i Przyjaciół.

— Tak, i udajesz się do sekcyi sióstr i przyjaciółek; znamy się na tem.

Dowiedz się więc o kochanie!
Że kiedy północ zadzwoni,
A chmurka księżyc osłoni,
Twój kochanek tutaj stanie;
Mimo ryglów mimo straży
Okienko twoje podważy.

— No! cóż, czy nieprawda?

— Nie, mylisz się przyjacielu; wracałem wprost do siebie i oto znalazłem na drodze obywatelkę, wydzierającą się z rąk obywateli ochotników; podbiegłem i spytałem, dlaczego ją aresztowano.

Poznaję cię teraz — rzekł Lorin. — Taki to charakter francuskich rycerzy.

Potem, odwracając się do ochotników.

— A dlaczego aresztowaliście tę kobietę? — spytał kapral-poeta.

— Jużeśmy to powiedzieli porucznikowi — odrzekł przywódca małego oddziału — bo nie miała karty bezpieczeństwa.

— Bah! bah! — rzekł Lorin — otóż to mi piękny występek.

— Nie wiesz więc, jaki jest rozkaz gminy? — spytał przywódca ochotników.

— Prawda! prawda! ale jest drugi rozkaz który znosi tamten.

— Jaki?

— Chciej tylko posłuchać.

Bo miłość wyrok wydała,
Że nawet i na Parnasie,
Piękność, młodość będzie miała
Wolny przystęp w każdym czasie.

— I cóż ty na ten rozkaz, obywatelu? ja mniemam, że jest bardzo uprzejmy.

— Prawda, lecz nie zdaje się być ostatecznym. Naprzód nie figuruje w Monitorze, powtóre nie jesteśmy wcale na Parnasie, po trzecie teraz noc, nakoniec obywatelka nie jest może ani młoda, ani ładna, ani przyjemna.

— Założę się, że przeciwnie — powiedział Lorin. — No, obywatelko, przekonaj mię, że mam słuszność, podnieś twój kwef i niech wszyscy osądzą czy posiadasz warunki postanowienia.

— Ah! panie — zawołała młoda kobieta tuląc się do Maurycego — broniłeś mię przeciw twym nieprzyjaciołom, broń-że teraz przeciw przyjaciołom, błagam cię.

— Widzicie, widzicie — powiedział przywódca ochotników, ona się kryje. Ja sądzę, że to jaki szpieg arystokratów, jakaś nic dobrego, nocna włóczęga.

— Oh! panie — mówiła młoda kobieta przystępując do Maurycego i odkrywając twarz zachwycającej młodości, nadzwyczajnej piękności, którą rozwidnił blask latarni. — Oh! spojrzyj na mnie, czym podobna do tego co oni mówią?

Maurycy stanął jak wryty. Nigdy nie marzył o podobnym widoku. Lecz widok ten trwał ledwie chwilę, bo nieznajoma równie szybko twarz swoją znowu zakryła.

— Lorinie — rzekł Maurycy — powiedz, że sam zaprowadzisz uwięzioną do posterunku, masz do tego prawo, jesteś naczelnikiem patrolu.

— Dobrze — odpowiedział młody kapral — rozumiem cię nieco.

I obracając się do nieznajomej dodał:

— No, no, moja piękna, ponieważ nie chcesz przekonać nas, że masz warunki postanowienia, musisz więc udać się z nami.

— Jakto! udać się z wami? — zawołał przywódca ochotników.

— Nie inaczej, odprowadzimy obywatelkę na ratusz, gdzie stoimy na warcie, a tam dowiemy się, co ona za jedna.

— Nic z tego nie będzie — odrzekł przywódca pierwszego oddziału — ona do nas należy, a więc ją zatrzymamy.

— Ej! obywatele, obywatele — mówił Lorin — pogniewamy się jak widzę.

— Gniewajcie się, lub nie, do licha! to mi tam wszystko jedno. Jesteśmy prawdziwi żołnierze Rzeczypospolitej, i kiedy wy patrolujecie po ulicach, my mamy wylewać krew naszą na granicach.

— Strzeżcie się, abyście jej po drodze nie wylali, obywatele, a to bardzo łatwo nastąpić może, jeżeli nie będziecie grzeczniejsi.

— Grzeczność to arystokracka cnota, my zaś jesteśmy sankuloci — odparli ochotnicy.

— No no — rzekł Lorin — nie mówcie przy pani o podoknych rzeczach. Może ona angielka. Nie gniewaj się za to przypuszczenie, mój piękny ptaszku — dodał uprzejmie zwracając mowę do nieznajomej.

Tak wyrzekł paeta, a więc niech tak będzie.
Powtórzmy słowa poety pieszczone.
Anglia dla niego to gniazdo łabędzie.
Na wielkie jezioro puszczone.

— Aha zdradzasz się — rzekł przywódca ochotników — aha! sam się przyznajesz, że jesteś kreaturą Pitta, angielskim stypendystą, i...

— Milcz — odpowiedział Lorin — nie znasz się wcale na poezyi mój przyjacielu: będę więc z tobą mówił prozą. Słuchaj: my jesteśmy narodowi gwardziści, łagodni i cierpliwi, ale wszyscy dziećmi Paryża, co znaczy, że jeżeli nam kto zalezie za skórę, to my go za uszy.

— Pani — rzekł Maurycy — widzisz na co się zanosi, za pięć minut tych kilkunastu ludzi gotowi pomordować się dla pani. Czyż sprawa tych, którzy cię bronić pragną zasługuje na przelew krwi?

— Panie — odpowiedziała nieznajoma załamując ręce — jedną tylko rzecz wyznać panu mogę, jedną, to jest: że jeżeli każesz mię aresztować, wypadek ten sprowadzi na mnie i na innych tak wielkie nieszczęście, że wolę abyś mnie przebił bronią, którą trzymasz w ręku i trupa mego wrzucił w Sekwanę, aniżelibyś miał mię opuścić.

— Dobrze pani — rzekł Maurycy. — Biorę wszystko na siebie.

I puściwszy ręce pięknej nieznajomej, które trzymał w swoich rzekł do narodowych gwardzistów:

— Obywatele, jako wasz oficer, jako patryota, jako Francuz, rozkazuję wam, abyście bronili tej kobiety. A ty Lorin, jeżeli który z tych łotrów piśnie choć słowo, na bagnet go.

— Za broń! — komenderował Lorin.

— O! Boże! Boże mój! — zawołała nieznajoma, odziewając głowę kapturem i opierając się o kamienny słupek. O Boże! miej mię w Twojej opiece.

Ochotnicy usiłowali przybrać obronne stanowisko. Jeden z nich nawet strzelił z pistoletu, a kula przeszyła kapelusz Maurycego.

— Do ataku broń! — rzekł Lorin. — Tram, tam, tam, tram...

Wśród ciemności nocnej przez chwilę zawrzała walka i wśród zamieszania dało się słyszeć parę wystrzałów z ręcznej broni, potem nastąpiły łajania, krzyki, przekleństwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Na chwilę wstrzymała czytanie, odetchnęła ciężko, lecz oczy się oderwać od listu nie mogły... Coraz silniej drgały ręce.

Z widocznym pospiechem poczęła gonić oczyma wiersze, odwróciła kartę, wyprostowała się, czoło zmarszczyło, oczy zamknęły, list i ręce opadły na kolana — z pod powiek puściły się dwa łez strumienie. Nie patrząc na Wojtusia zasłoniła dłońmi twarz i jęknęła... list zsunął się na ziemię.

Łatwo się było domyśleć, że Kajo musiał jej wyznać wszystko.

Nie miała siły ani spytać, ani się użalić, ani przemówić.

Siedziała jak osłupiała.

Służąca, która znać podpatrzyła ją z za drzwi i znała swą panią, przybiegła żywo ze szklanką wody.

— Pani, pani, niech się pani napije... na rany pańskie — co pani jest. — Rejentowa wyciągnęła rękę po szklankę i znaleźć jej nie mogła długo, poniosła do ust i zniżywszy je ledwie — jęknęła głośno. Załamała ręce i spojrzała z za łez na siedzącego Wojtusia.

— O! jakim pan byłeś nieszczęśliwym prorokiem — odezwała się głosem, który ledwie był dosłyszany.

— Cóż się stało? — przerwał Wojtuś wstając — co Kajetan pisze... może czas radzić jeszcze...

— Ja nic nie wiem.. czytaj pan! Radź, ratuj, głowę tracę.

Garbus podjąwszy list z ziemi poszedł z nim do okna.

Nie potrzebował czytać całego, z kilku słów spostrzegł, że był pisany w chwili, gdy razem z panną Wilhelminą von Riebe mieli siadać na kolej i uciekać. Dokąd? Kajetan nie pisał. Miał o tem donieść później, lękał się, ażeby list nie był czytanym na poczcie i nie posłużył za wskazówkę dla ścigających.

— Wszelka rada i wymówki byłyby już dziś zapóźne — odezwał się po namyśle. — Dopóki można było zapobiedz temu, należało czynić, co w mocy ludzkiej, dziś należy się poddać przeznaczeniu. Nie będę krył przed panią, że widząc już, na co się zanosi, nie mówiąc nic Kajetanowi, przyjechałem tu umyślnie w tym celu, ażeby pani powiedzieć, czego się lękam, i przedsięwziąć jakieś środki. Kajetan na wyjezdnem zapewnił mnie, iż tak prędko o niczem stanowczem nie myśli, znać albo sam się tego nie spodziewał, lub chciał tylko mnie się pozbyć.

Nie pochwalam wcale postępku jego, otwarcie byłem przeciwny — ale od tej chwili, gdy są razem, gdy ich nie inaczej tylko jak żonę i męża uważać muszę, patrzę na to z innej strony. Nie jest to znowu tak wielkie nieszczęście.

Chciał pocieszyć wdowę, która zanosiła się od płaczu.

— Niemka i luterka.. — powtarzała.

— Rodzice bardzo majętni... — dorzucił Wojtuś.

Rzuciła ręką.

Nie było już co mówić więcej, zdawało się garbusowi, iż najlepiej uczyni, gdy ją samą zostawi, aby się swobodnie mogła wypłakać i pomodlić. Wiedział od niej, że szwagier jego był w mieście, miał więc gdzie parę godzin przepędzić.

— Pani dobrodziejko — odezwał się biorąc za kapelusz — ja dziś wieczorem powracać muszę. Przyjdę panią pożegnać jeszcze, teraz nie chcę nadaremnemi słowy jej nużyć.

Rejentowa płacząca ciągle podała mu rękę. W progu z fartuchem na ustach przestraszona, zaciekawiona stała sługa. Wojtuś wysunął się przybity.

Umysł poczciwego garbusa we wszystkich wypadkach ze ścisłą postępował logiką. Ta teorya, którą niegdyś wykładał Kajetanowi w skróceniu, służyła mu zawsze i we wszelkich okolicznościach. Był tego zdania, że należy z energią działać przeciwko złemu, którego uniknąć można — ale gdy złe jest nieuchronne, poddać mu się i szukać ulgi lub siły do oddziaływania.

Wyszedłszy więc co prędzej mimo szewca w okularach, który go nadaremnie wstrzymać

usiłował — powlókł się ku miastu, rozmyślając nad losem Kajetana.

Według niego pierworodny grzech niemieckiego urodzenia niczem się zmyć nie dawał — ale — ale można było starać się go zmniejszyć, usuwając Wolskich od niemieckiego wpływu. Kajetan był poczciwy, ale dosyć miękki, był zakochany, musiał więc żonie stać się powolnym — jeśliby więc państwo radzcostwo von Riebe wyparli się córki i nie chcieli znać ani widzieć zięcia — byłoby tylko do zniesienia ubóstwo, a nie wynarodowienie i sprzeniewierzenie się obowiązkom.

Lecz któż mógł odgadnąć, co się stanie? — Zobaczymy — rzekł w duchu — zawsze mi jednak żal biednego Kaja, czuję że przepadnie.

Utinam sim falsus vates!

Szwagra znalazłszy w mieście i dosyć nieprzyjemnie go zdziwiwszy przytomnością swoją, która była admonicyą o procent zaległy, spędził z nim dzień garbus, usiłując mu dowieść, że nie ma o czem do Berlina powracać.

Ułożyły się interesa przy obiedzie, dzierżawca westchnął nad nieszczęśliwym składem okoliczności, który mu kochanego braciszka tak niespodzianie nastręczył, wypili razem butelkę wina, uściskali się serdecznie i rozstali. Wojtuś pobiegł na Chwaliszewo do wdowy.

Na dole zastał znowu pana Zarwańskiego z okularami na samym już końcu nosa. Zdawał się nań oczekiwać i pochwycił.

— Co tam takiego u Rejentowej na górze — zawołał zastępując mu drogę — nie mogę się dowiedzieć, posyłali po cyrulika, żeby krew jej puścił. Od rana jak we młynie, a ja jak w rogu. Możesz to być, żebym ja nie wiedział, co się z moją lokatorką dzieje? Postyliony latają, pan przyjechałeś. Uchowaj Chryste Jezu, czy nie synowi się co stało.

To w lewo to w prawo zapierając sobą drogę, szewc natarczywie domagał się odpowiedzi.

— Ale cóż jest? co jest? Z sekretu przecie nie wydam! Czy do jakiego spisku go wciągnęli? Co? czy chory? Niechże mi pan powie choć słowo!

— Śpij pan spokojnie, panie Zarwański — zawołał zniecierpliwiony garbus — nic się nie stało. Niemka się w nim zakochała i tyle tego.

Szewc splunął i ustąpił.

— Było czego lamentować... jak sobie posłała tak się wyśpi.

Machnął ręką i wszedł do izby czeladnej, a Wojtek pospieszył na górę.

Rejentowa siedziała w fotelu z ręką obwiązaną, z głową chustkami okrytą. Posłyszawszy drzwi odgadła przyjście garbusa i słabym głosem zaczęła go wzywać do siebie.

Firanki były zapuszczone. Dosia stała przy pani cała we łzach.

— Niechże pani tak do serca tego nie bierze, nic się jeszcze może nie stało. Proszę Pana Boga, aby ich złapali, nim uciekną. I toby być mogło. Niema się jeszcze czem martwić, bo nie wiemy...

— A! jakże nie wiemy — przerwała z załamanemi rękami Rejentowa... — na stoliku leży drugi list... czytaj pan.

Odwrócił się Wojtuś i spostrzegł na papierze biurowym długie pismo po niemiecku. U góry drukowana firma: Commerzienrath von Riebe. Commissions-, Speditions- und Incasso-Geschäft etc...

Nie widać było, ażeby piszącemu ojcu drżała ręka... pismo było płynne i czytelne, zredagowane ostro i nielitościwie, ze ścisłością notaryalną.

Radzca komercyjny oznajmił pani Wolskiej, iż syn jej stał się winnym porwania panny, wprawdzie pełnoletniej, ale zostającej pod władzą rodziców, że dotknięci tem do żywego oboje, postanowili córkę wydziedziczyć i znać ani wiedzieć o niej nie chcą.

Oznajmują więc pani Wolskiej o tem, by jej syn ani progu ich domu przestąpić się nie ważył, ani się spodziewał zmiany tego postanowienia, które już jest nieodwołalne i na tymże dniu aktem notaryalnym w sądzie prezentowanym, a przez oboje państwa podpisanym stwierdzonem zostało.

Przeczytawszy list Wojtuś się trochę zamyślił.

— Powinszować pani należy tego — rzekł spokojnie. — Kajetan dokończy wkrótce medycyny i nie potrzebuje pomocy tych rodziców czułych — a raz na zawsze z familią zerwano i nic już z nimi do czynienia mieć nie będzie.

Matka płakała.. — o niewysłowionem nieszczęściu swem, które jej się co chwila straszniejszem wydawało, mówić nie mogła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

HYGIENA.

Pielęgnowanie włosów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ażeby utrzymywać zdrowym i miękkim włos kobiecy, należy go każdego wieczoru, przed udaniem się na spoczynek przeczesać, związać w lekki węzeł i nakryć siatką. Używanie czepka nie poleca się ze względów hygienicznych, ponieważ przeszkadza prawidłowym wyziewom skórnym.

Dla kobiet skarżących się na to, że im włosy obficie wypadają „z korzeniem", co wnoszą z tego, że na końcu każdego włosa daje się zauważyć supełek, niechaj będzie pociechą orzeczenie znanego specyalisty d-ra Pinkusa, który twierdzi, że każdy wypadający włos musi mieć supełek korzonka, i im większy jest ten ostatni, tem pewniejsze są widoki na porost nowego włosa. Wreszcie i u zdrowych zupełnie osób daje się zauważyć bezustanne, zresztą zupełnie normalne wypadanie, gdy włos osięgnie przeznaczoną mu długość. — Tylko wypadanie „krótkich" włosów, posiadających korzeń i czubek, oznacza chorobliwy stan. Rozszczepianie się końców pochodzi od nadmiernej suchości włosa, lub też wskutek wadliwego odżywiania cebulek. — Do mycia głowy używać łagodnych, bezalkalicznych mydeł i letniej miękkiej wody, jaką jest np. woda deszczowa lub dobrze przegotowana. Woda źródlana i wodociągowa jest zwykle twarda. — Wybornym do mycia głowy okazał się następujący środek: do garnka wrzącej wody wrzucić łyżkę stołową pszennych lub żytnich otrąb i gotować przez pięć minut. Następnie wywar przecedzić przez płótno i używać po ostudzeniu do mycia głowy.

Wiele szkody wypływa ze sposobu zwykłego pielęgnowania i noszenia włosów. Niekorzystny wpływ nienaturalnego uczesania uwydatnia się bardzo na włosach wieśniaczek niemieckiej prowincyi Sachsen-Altenburg i Bückeburg. O ile wdzięcznie wyglądają mieszkanki tamtych okolic w swym stroju narodowym, w którego skład wchodzi oryginalnego kształtu nakrycie głowy, o tyle zdolne są przerazić widza swym widokiem, gdy owe nakrycie zdejmą; wszystkie bowiem mają wyjątkowo rzadki porost włosów, co się tłómaczy powszechnie przyjętym sposobem ich noszenia. Układają się one „pod włos", co niezmiernie draźni cebulki włosowe i przyczynia się do przedwczesnego ich wypadania, do czego skłonność dzieci przynoszą już dziedzicznie na świat.

Każda kobieta, nie stosująca się w sposobie uczesania do naturalnego kierunku włosów, powinna co pewien czas zmieniać uczesanie. Naturalne zaś położenie włosów jest następujące: na wierzchu głowy od ciemienia do czoła, włosy idą na prawo i na lewo ku oczom, od ciemienia zaś ku tyłowi spadają w dół. Naturalne uczesanie zatem jest takie, jakie widzimy u madonn na obrazach, mianowicie włosy rozdzielone pośrodku i skierowane łukowato najpierw ku przodowi a następnie ku uszom, tylne zaś czesane na dół i razem skręcone w węzeł w tyle głowy, lub też luźno w pasmach albo warkoczach podniesione w górę. Takie uczesanie nie draźni cebulek i włosy długo utrzymują się zdrowe i piękne.

Przykład właściwego obchodzenia się z włosami dają nam Angielki. W wieku młodocianym noszą one włosy krótko obcięte do ramion, tak, że światło i powietrze swobodnie przenikać mogą przez luźne pasma do skóry, w późniejszych latach zaś jeden lub dwa długie grube warkocze, w kształcie wieńca upięte, zdobią gładko uczesaną głowę.

Bezpośredniem pielęgnowaniem włosów jest w pierwszym rzędzie staranne utrzymywanie czystości, głównie zaś samej skóry. Regularny dopływ krwi jest kardynalnym warunkiem utrzymania zdrowych zarodków włosowych, a co zatem idzie włosów. Ponieważ zaś gruczołki łojowe głowy bardzo obficie tłuszcz wydzielają, przeto konieczne jest częste oczyszczanie skóry. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem należy przeczesywać włosy rzadkim grzebieniem, przesuwając nim starannie i po skórze. W tym celu trzeba ułożyć włosy w sposób powyżej opisany, a umaczawszy końce palców w zimnej wodzie, doskonale natrzeć niemi najpierw całą skórę na głowie, a następnie wyczesać rzadkim, co kilka dni zaś i gęstym grzebieniem, nie zwracając przytem uwagi na włosy. Skoro już ta nader zbawienna część spełniona, przystępujemy do rozczesywania pojedyńczych pasm włosów rozpoczynając od końców i zwolna postępując ku korzeniom. Nakoniec poddajemy jeszcze włosy gruntownemu wyszczotkowaniu.

Przy takim codziennem, troskliwem pielęgnowaniu włosów częste mycie głowy wcale nie jest potrzebne, tembardziej, iż pozbawia ono włosy naturalnego ich tłuszczu, który je czyni spręży-

stymi; nie powinno się go więc nadużywać. W zależności od stopnia wydzielania tłuszczu przez gruczołki łojowe, dość jest myć głowę raz na 4—6 tygodni, a i wówczas nie same włosy, lecz głównie skórę.

Dom i kuchnia.

Rozbef po angielsku.

Chcąc, aby rozbef był miękki i kruchy, trzeba go lekko zbić, wysmarować oliwą, obłożyć surowemi jarzynami, pokrajanemi w plasterki, cebulą i korzeniami i tak pozostawić na lodzie lub w chłodnem miejscu dwa dni lub przynajmniej dzień jeden. Potem wyjąwszy z marynaty, posolić i ułożyć na brytwanie, podłożyć masła i obrumienić na gorącej blasze; gdy rozbef obrumieniony, włożyć włoszczyznę, z którą był marynowany i wstawić do gorącego pieca na 10—15 minut, aby się za bardzo nie wypiekł, podlać rosołem lub wodą, wygotować smak, który przecedzić i użyć do podlania mięsa. Rozbef jeżeli ma być podany w całości do wystawnego obiadu, trzeba po upieczeniu odkroić od grzbietu, tenże grzbiet położyć na półmisek, mięso krajać w ukośne, szerokie a cienkie plastry i zręcznie ułożyć na grzbiecie, posolić i ubrać jarzynką oddzielnie gotowaną, kalafiorem, makaronem, fasolą zieloną i kartofelkami. Rozbef na zimno podaje się z sosem tatarskim lub musztardowym.

Legumina zimna.

Na salaterce szklanej lub porcelanowej dać warstwę marmelady malinowej lub morelowej, na to warstwę biszkopcików skropionych arakiem i posypać rodzynkami bez pestek, oraz drobno posiekaną cykatą. Na to nałożyć znów warstwę marmelady i biszkopcików — i tak powtarzać dopóki się salaterka nie napełni.

Oddzielnie zrobić krem z pół kwarty śmietanki, 5 żółtek, małej łyżeczki mąki, pół funta cukru, utłuczonego z pół laską wanilii, z dodaniem 2—3 listków rozpuszczonej żelatyny. Krem ten, ciągle mieszając, trzymać na ogniu, dopóki nie zgęstnie; a gdy zdjęty z komina i mieszany często zacznie stygnąć, dodać pianę z 5 białek, dobrze wymieszać i całą tę masę wyłożyć w salaterkę na biszkopciki.

Gotową leguminę wynieść na parę godzin do piwnicy.

Legumina czekoladowa z lodami.

Ilość: pół f. utartej czekolady, pół f. pudru, pół f. masła niesolonego, pół f. mąki, 6 jaj. Masło utrzeć na misce na śmietanę dodając po jednem żółtku i po trochu cukier i czekoladę, a na końcu trochę wanilii i pianę z 6 białek. Gotowe ciasto włożyć w formę od leguminy wysmarowaną masłem i wsunąć w dosyć gorący piec na 3 kwadranse. Leguminę po zupełnem wystudzeniu ubrać lodami czekoladowemi i na stół wydać.

Lody czekoladowe.

12 łutów utartej waniliowej czekolady nalać kwartą ciepłej świetanki i mieszać ciągle dopóki się nie rozpuści Oddzielnie 5 żółtek rozbić z 20 łutami cukru miałkiego, zozebrać poprzednio przygotowaną czekoladę, postawić na wolnem ogniu i mieszać łyżką tak długo, dypóki cały płyn dobrze nie zgęstnie. (Nie dać się zagotować bo się zwarzy). Zdjęty płyn z komina przecedzić, zupełnie ostudzić, zlać do puszki, którą jak zwykle ulokować w kubełku z lodem osypanym solą i kręcić dopóki dobrze nie zastygnie.

Tort orzechowy.

Funt orzechów włoskich obrać z łupin, przepuścić przez maszynkę i ucierać w donicy z 1 funtem cukru, dodając po jednem 12 żółtek i kwaterkę śmietanki. Skoro masa dobrze utarta, wsypać kubek tartego chleba razowego, a w końcu pianę z 12 białek. Włożyć w formę tortową, wysmarowaną maslem i posypaną tartą bułką i wstawić w piec gorący na pół godziny.

Zmarznięte owoce, aby uchronić od zgnicia, wrzuca się w gliniane naczynie ze słoną wodą. Po kilku godzinach woda pokryje się łupawą skorupką, którą się odrzuca, wraz z wodą, a nalewa się świeżej wody z solą; tak postępując, można przez parę tygodni przechować owoce, bez szkody.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Bulion z jajkami, rozbef po angielsku z jarzynkami, legumina czekoladowa z lodami.

Poniedziałek. Barszcz z botwiną, pieczeń wołowa duszona z kartoflami, wafle z bitą śmietaną.

Wtorek. Zupa kalafiorowa, paszteciki w cieście francuskiem, zając z borówkami.

Środa. Rosół z kluseczkami (nioki), sztuka mięsa w chrzanowym sosie, pieczeń barania z kompotem.

Czwartek. Kapuśniak z kartoflami, kaczki pieczone z buraczkami, krem czekoladowy.

Piątek. Zupa z ryb, sandacz zapiekany z kapustą, szarlotka z jabłek.

Sobota. Zupa szczawiowa, pieczeń cielęca, ciastka francuskie z kremem.

Ma gust.

Ojciec do czterech córek?

— Jakiego byście chciały mieć męża?

Córka pierwsza: Arystokratę.

Córka druga: Przystojnego i inteligentnego.

Córka trzecia: Bogatego.

— A ty najmłodsza Basiu, nic nie mówisz?

Córka czwarta. Ja tam nie jestem wybredną i zupełnie się zgadzam na gusta moich sióstr.

— A więc?

— Chciałabym mieć za męża arystokratę, przystojnego i inteligentnego, któryby zarazem był bogatym.

Pewny siebie.

— I cóż to pan porucznik ma mi takiego do powiedzenia?

— Kochamy się, panno Doroto...

— Ileż to razy — mój Boże! — tworzyło się różne wiersze i ody na cześć wiosny.

— To też dziwię się bardzo, że pomimo to wiosna ma jeszcze ochotę powracać.

— I jakąż farbą życzy pan sobie mieć portret zrobiony? wodną? czy olejną?

— E! to chyba olejną. (Do siebie.) Będę tłuściej wyglądał.

Odpowiedź.

Młodziutki chłopiec oświadcza się poważnej, lecz o wiele starszej od niego pannie.

Owszem — odpowiada panna — tylko obawiam się tego, że pan tak młody, brak panu doświadczenia.

— O, co do tego — przerywa jej młodzian — jestem zupełnie spokojny: doświadczenia posiada pani za nas dwoje!

Nieostrożność.

— Gustek! jak ty mogłesz bicz tak nieostrożne, y szadacz na szodło, skoro uno buło na koniu?...

W sądzie.

— Podsądny, ten pan oskarża cię, że pobiłeś jego teściową.

— Jak to pobiłem: Będąc w pasji, raz jeden ją uderzyłem.

Zięć. Nieprawda; biłeś ją pan bez przerwy blisko pół godziny.

Sędzia. W takim razie czemu pan swojej teściowej nie broniłeś, a natomiast pozwoliłeś ją tak długo bić?

Dawniej a teraz.

— Jak się nasz przyjaciel Władysław ożenił, to tak dalece ubóstwiał swoją żonę, żeby ją gotów był zjeść z miłości.

— A teraz?

— A teraz — żałuje, że nie poszedł za pierwszym popędem serca...

Wielkie dochody.

— Mąż mój ma wielkie dochody, lecz cóż z tego, gdy wieczorem wszystko, co zarobi, wydaje co do grosza.

— Czy tak bardzo hula?

— To nie, ale uważa pani, mój stary jest konduktorem przy tramwajach i cały dochód dzienny musi co wieczór oddać do kasy.

Żona do męża.

— Jak możesz tak tutaj na zimnie stać na moście i całemi godzinami patrzeć na Wartę?

— Ja obserwuję, jak się lód tworzy.

— Tworzenie lodu — jak widzę — jest teraz jedyne tworzenie, które cię jeszcze zajmuje.

W menażeryi.

— Mówiłeś pan, że ten słoń grać będzie na fortepianie, a jednak nie gra?

— Przepraszam szanownej publiki, bo słoń ten grać nie będzie.. Jest ogromnie markotny, bo na klawiszach fortepianu poznał kość słoniową, wydobytą z kłów jego rodzonej matki.

Raz na jarmarku handlujący laskami wołał: „kto ma pieniądze, ten dostanie kije!“



Tylko dobry

gramofon

może w kółku domowem sprawić wielką przyjemność i zupełnie zastąpić wszelkie instrumenty. — Ponieważ posiadam

gramofony

li tylko z pierwszorzędnych fabryk i sprzedaję takowe po cenach oryginalnych fabrycznych, mogę je zatem Szanownej Publiczności najsumienniej polecić. Proszę się osobiście przekonać, **bez przymusu kupna!**

Płyty do gramofonów

zupełnie czysto i wyraźnie grające, z dwóch stron ograne już od 2,00 mk. począwszy.

Fonografy i wałki w wielkim wyborze

„Camera" Z. Śniegocki

Pierwszy specyalny skład gramofonów i aparatów fotograficznych.

Reparacye gramofonów tanio i dobrze!
Obszerne katalogi z ilustracyami na życzenie darmo w dom.

Klinika prywatna

Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne, dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych.

POZNAŃ, Plac Piotra nr. 4
Telefon 893.

Co dopiero wyszła w 3-ciem wydaniu znakomita książka kucharska

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież śpiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny, str. 360. Cena bez oprawy 2,20 mk., z opr. 3.00, porto 20 fen. Należytość uprasza się nadsyłać naprzód przekazem do

Księgarni Katolickiej, Poznań, ulica Jezuicka 5.

Uwaga: Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte na własnem, długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania. — Można zamawiać także i za zaliczką pocztową.

Zakład wodoleczniczy

Dr. Żoiniewicza

POZNAŃ, ulica Strzelecka nr. 25,

przyjmuje cierpiących na wszelkie choroby chroniczne.



niezrównane środki kosmetyczne
jak

Arystokratyna

mydło, krem, puder,
proszek do mycia
fabryki perfum i kosmetyków
aptekarza

Z. Rittera Następcy

Poznań O. 1

są podług obecnego stanu wiedzy niezbędne do pielęgnowania płci.

Złoty medal Lwów 1908 — **Złoty medal Poznań 1907**

Do nabycia wszędzie.

Pensjonat „Quo vadis"

w Wrocławiu, dobrze prosperujący, położony blizko głównych ulic i dworca, składający się z 8 kompletnie urządzonych pokoi, światłem elektrycznem i telefonem jest zaraz do nabycia. Reflektanci zechcę się zgłosić pod adresem:

Hr. Wrschowetz,
Breslau — Blumenstr. 10. p.

W moim pensyonacie jest kilka miejsc wolnych od Wielkiejnocy rb.

Przyjmuję panienki uczęszczające do tutejszych wyższych zakładów żeńskich. Zapewniam jak najtroskliwszą opiekę pod każdym względem oraz sumienną pomoc w naukach. **Oprócz nauczycielki Polki, Francuska stale w domu.**
Bliższe szczegóły w prospektach, które się wysyła na żądanie.

A. Słomińska

egzam. nauczycielka wyższych szkół żeńskich
POZNAŃ, Strzelecka 5. (Schützenstr.)

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.". — Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński w Poznaniu.